

S. GĘBARSKI

Z TONI



I

165

L. Jars

N^o 184^a



Z TONI.

184

STEFAN GĘBARSKI.

Z T O N I.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

(Życie i czyny Stefana Czarnieckiego).

Dopóty naród żyje, dopóki
w nim przechowuje się pa-
mięć jego bohaterów.

WARSZAWA.

NAKŁAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT.”
WYDAWNICTWO „PRZYJACIELA DZIECI.”



884-311.25



7651-K

K.
R. 268
19/9 450

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.

73



ROZDZIAŁ I.

W pięknym grodzie Łowiczu, około którego rzeka Bzura, jakoby srebrna wstęga przepływa, od pewnego już czasu smutek zapanował i jakby kirem żałoby pokrył dusze ludzkie.

Srogi nieprzyjaciół zajął miasto — Szwedzi, którzy zdradą, podstępem, judaszowskimi srebrnikami i przemocą opanowali byli prawie całą Rzeczpospolitą polską i wszystkie jej większe miasta, nie wyłączając Warszawy i Krakowa.

Chociaż więc wiosna roku pańskiego 1656 wcześniej ciepłymi promieniami słońca spędziła z oblicza ziemi śniegi i lody, choć zazieleśniły się pola, łąki i lasy, a pieśń radosna skowronka rozległa się pod lazurem pogodnego nieba, wesołości w sercach ludzkich nie było.

Niechętnie wyjeżdżał rolnik z pługiem

w pole, ociągał się kupiec z wyjazdem do Gdańska po zamorskie towary i ze sprzedażą swoich, a lud wieśniaczy trwożnie spoglądał dokoła, zwłaszcza, gdy nad wieczorem krwawe na niebie zapalały się łuny, dając znać, że płoną o kilka mil położone osady i miasta.

Podpalili je Szwedzi, gdy „bunt“ w nich, jak nazywali najmniejszy opór ze strony ludności przeciw łupieskim swym hufcom spostrzegli. W święta i niedziele nie ciągnął drożynami siermiężny lud boży do świątyń, gdyż te najczęściej, złupione i obdarte z wszystkich sprzętów kościelnych, stały zamknięte, lub służyły za składy broni, magazyny żywności dla armii szwedzkiej.

W nich też dowódcy szwedzcy przechowywali kosztowności i łupy, które w okolicznych dworach zrabowali i za swą prawowitą własność uważali.

Mieszczanie łowiccy, którzy słusznie cieszyli się sławą najjobrotniejszych i najzamożniejszych nie tylko na Mazowszu, ale w całym kraju, szczególnie ucierpieli od Szwedów.

Pułkownik Izrael, człek niezwykle na złoto chciwy, ulubieniec króla szwedzkiego, na czele wyborowego hufca żołnierzy gospodarował w mieście, jakby się tego może nawet dziki Tatarzyn lub Turek powstydił. Nakładał podatki, rabował domy zamożniejszych

obywateli, z świątyń nie tylko wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, lecz nawet posadzkę i pomniki z lepszego marmuru zrobione zabierał, aby w przyszłości sprzedać je kupcom do Niemiec.

Obyci w świecie mieszczenie łowiccy, znani z obrotów handlowych w Anglii, Francji, Austrii, Bawarii, Turcji a nawet w dalekiej Bucharze i Persyi, oszołomieni i przerażeni tak nagle i niespodziewanem nieszczęściem, zmuszeni do uznania królem obcego monarchy, a wyrzeczenia się króla prawowitego, nie wiedzieli co począć, jak sobie w nieszczęściu radzić.

Pułkownik szwedzki postępował sobie z nimi, jak z dziką hordą pod pozorem, że wojsko jego nie jest należycie przez miasto żywione i odziewane, po prostu, jak to mówią obdzierał ze skóry i zamożnych i mniej zamożnych.

— Niech tylko najmiłościwszy nasz pan Karol Gustaw Polskę uspokoi, a zobaczycie, że szczęśliwszych ludzi nad was nie będzie na świecie! — mawiał do śmielszych, którzy odważyli się powiedzieć mu w oczy, że jest zdziercą, łupieżcą i okrutnikiem, poczem do lochów więziennych, jako tych, którzy w jego osobie obrazili najjaśniejszy majestat największego i najwaleczniejszego z monarchów

szwedzkich—wielkiego Karola Gustawa—wtrącić rozkazywał.

Kirem żałoby okryty więc był Łowicz, choć wiosna nadchodziła piękna, słoneczna i wonna.

Miasto, które na zachodzie Europy nazywano drugą Norymbergą, kipiące niedawno życiem, bogate i ludne, nagle jaby zamarło.

Jeno w gospodach, karczmach i zajazdach, zwłaszcza na przedmieściach gwarno było i ludno.

Pili tam i grali w kości żołdacy szwedzcy, po pijanemu przeklinając kraj i lud polski.

W jednej z takich podmiejskich gospód w pierwszych dniach kwietnia, w niedzielę, siedziało za stołem, pijąc miód z gąsiorka kilku mieszczan łowickich, z cicha o czemś ważnem radząc i jakoweś ważne wieści sobie opowiadając.

Co chwila niespokojnie spoglądali w okna i rzucali oczami w stronę drzwi, jakby w obawie przed kimś niepożądanym.

— Pijcie, panowie, spokojnie i folgę językowi dajcie, bo dzisiaj Szwedów nie będzie—mówił pan Kacper Miotelka, właściciel gospody „Pod złotą rybą”—wczoraj otrzymali rozkaz, ażeby do wymarszu pod osobistem dowództwem pułkownika Izraela byli gotowi... Setki też wozów włościańskich z osad i wio-

sek okolicznych mieli rozkaz zgromadzić na rynku i przed zamkiem prymasowskim... Sami się żołnierze dziwili, po co tyle chłopskich wozów nakazano zebrać.

— To się dzisiaj wyjaśnia po co ten gorszy od Tatarzyna dowódca szwedzki kazał tyle podwód do miasta ściągnąć—rzekł pan Jacek, piekarz miejski.

Co rzekłszy, obejrzał się lekliwie dokoła.

Spostrzegł to pan Kacper Miotelka i głosem stanowczym zapewnił zebranych, że nie mają się czego obawiać, bo z wszelką pewnością Szwedzi dnia tego do gospody na grę i pijatykę nie przyjdą.

— Surowy otrzymali rozkaz, żeby do pochodu się przygotowali...

— Ano jeśli tak mówicie, to wam powiem, że ten z piekła rodem Szwed, co rządzi i panoszy się w naszym mieście, istic dyabelską powziął myśl i już ją wykonywa...

Tu pan Jacek umilkł i po desparacku za głowę się chwyciwszy, zawołał głosem zrozpaczonem:

— Skarby, odwieczne pamiątki, relikwie święte, złoto i drogie kamienie, pieniądze w beczkach zabite, towary i materye co najcenniejsze do Prus i Szwecyi wywozić będzie... Złupił i zrabował ich tyle w świątyniach, pałacach i dworach, zabrał ze skarb-

ców i skrzyń co najzamożniejszych obywateli, a nawet z chat włościańskich ciężko zapracowanego i zaoszczędzonego grosza, że tego i na setkach wozów nie pomieści... Nie jedną rodzinę przez to zrujnował, na nędzę skazał... Nie jedną świątynię zubożył i na stajnię dla koni przeznaczył... Słyszałem od starego zakrystyana Błażeja, który od łez gorzkich, gdy mi o tem w tajemnicy mówił, powstrzymać się nie mógł, że pono straszliwy ten szwedzki łupieżca nawet katedralnego skarbcza nie uszanował, gdzie w skrytce znajdowały się złote, drogiemi kamieniami wysadzone relikwiarze z częstką drzewa Krzyża, na którym skonał Chrystus Pan, i Świętej Wiktorii, Patronki Łowicza, również wielkiej wartości... Zabrał też duży kielich srebrny, starodawny, pono przez wielkiego króla naszego Zygmunta III własnoręcznie rzeźbiony, na którym przedziwnie tajemnice Męki Pańskiej wyobrażone były. Kamienie drogie i rubiny ten kielich zdobiły. Zabrał i cztery inne, nie mające cenny kielichy, jako rosą poranną, lśniąca w słońcu, dokoła brylantami osypane. Zabrał monstrancye, ornaty złote i srebrne, drogiemi kamieniami ozdobione... Wszystkie te skarby i święte pamiątki, które przez pobożne serca Bogu Najwyższemu ofiarowane były, na które z czcią i miłością patrzyły oczy przodków na-

szych, których by może nawet dzicy Tatarzy zdjąć z ołtarzy pańskich nie poważyli się, hardą i zbrodniczą ręką złupił okrutny Szwed i teraz precz je z kraju naszego wywozi...

— Straszliwe opowiadacie rzeczy!..

— O pomstę do Boga wołając!..

— Czyż takie zbrodnie... bezbożnego szweda bezkarnie mu ujść mają?... Nie porazi-ż go Bóg ogniem niebieskim?... nie ukarze za świętokradztwo nagłą śmiercią?—wołali wzburzeni mieszczanie, od dziada-pradziada zamieszkali w łowickim grodzie.

Na chwilę zapanowało smutne milczenie, jeno właściciel gospody, nagle zerwał się z miejsca i podbiegłszy do bocznych drzwi, prowadzących z głównej izby do alkierza, uchylił je ostrożnie, mówiąc;

— Wybaczcie, panowie, że na moment tam zajrzałem. Skaranie boskie mam z moim synem Michałkiem... Jak jeno usłyszy cośkolwiek o zbrodniach szwedzkich, zaraz do nóg mi się rzuca, za ręce łapie i prosi a błaga: „Ojczel! tatuńciu złocisty, pozwólcie mi na Szweda... Piętnastą wiosnę zaczynam... mocnym jak dębczak... Nie usiedzę w domu... Ot, co mam za zmartwienie!.. Dwóch starszych synów wojna mi już zabrała... Poległ Adam pod Beresteczkiem, a Kazimierz, mój i matki ulubieniec, chłopak ładny jak malo-

wanie, w nieszczęsnej bitwie pod Batowem, gdzie hetman nasz Marcin Kalinowski pobity został przez zbuntowanych kozaków pod dowództwem zdrajcy Chmielnickiego zostających... Ano za ojczyznę życie dali... Oplakaliśmy ich już z żoną i pogodzili się z losem... Na Michałka spoczęły oczy i nadzieje nasze... Bóg nam przebaczy, że kochamy to jedyne już dziecko nasze więcej może, niż kochać wolno, bo po nad wszystkich i wszystko na ziemi...

— Ano i nie dziw—mruknął pan Jacek—bo takiego dzielnego i poczciwego jak wasz Michałek chłopca nie znajdzie drugiego na całą okolicę... Znam Michałka... Dobry, dzielny, rozumny... Szkoda tylko, że za porywczy i często uparty... Nie łatwo da się przekonać i dobrej rady posłuchać.

— Ja więcej powiem — rzekł stary pan Wojciech Różyczka, rzeźnik i właściciel dwóch sąsiednich domów — Michałek wasz, panie Kacprze, z moim najmłodszym synem Pawłem łatwo do więzienia się dostać mogą... a na nasze zagrody pomstę Szwedów sprowadzić..

— Na miły Bóg, sąsiedzie, powiedzcie, co takiego wyprawiają?.. Kamieniem w gospodzie siedzę... nie mam czasu za chłopakiem śledzić... Rany Chrystusa Pana!.. Cóż oni robią?.. Ja o niczem nie wiem...

Powstał z ławy, na której siedział, pan

Wojciech Różyczka i zbliżywszy się do pana Kacpra—szeptał mu do ucha:

— Temu opasłemu Szwedowi, co to wczoraj bez pamięci upił się z drugim swym kamratem, chudym i długim jak tyka od chmielu, chłopcy nasi zabrali miecze i pistolety, gdy obaj Szwedzi, pijani bez pamięci, idąc do obozu i zataczając się po drodze, przewrócili się i w rów wpadli...

— Prawdziwe zmartwienie!.. prawdziwe nieszczęście! — narzekał pan Kacper — toć te szwedzkie draby, choć pijane, mogły zapamiętać, kto, gdzie i kiedy broń im zabrał... I dlaczego-żeście wcześniej mi o tem nie powiedzieli, kochany panie Wojciechu?..

— Bo dopiero się o tem dzisiaj od parobka dowiedziałem, który widział, jak mój chłopak i wasz Michałek obu Szwedów, którzy choć nawpół przytomni, chcieli się jednak bronić i nie dać sobie broni zabrać, chłopcy nasi do przydrożnego rowu błotniste go zepchnęli, skąd obaj pijani żołdacy nie prędko się wydobyli, więcej do nieboskich stworzeń, niż do ludzi podobni... Jak dwa strasydła, uwalani błotem, wlekli się później przez miasto, budząc śmiech i urągowsko... Ano!.. co oni tam, jak wytrzeźwieją, swemu pułkownikowi naopowiadają, łatwo się domysleć... Nasze zagrody ogłoszą za siedlisko buntowników...

Nie dobrze się dzieje, sąsiedziel.. Gdzież nasi rycerze?.. gdzie hetmani?.. Gdzie król szlachetny i mężny, zwycięski w wielu bitwach?.. Czemuż pozwalają zuchwałemu Szwedowi bezkarnie łupić świątynie pańskie i mienie ludu polskiego... Nie dziw, że w takich okropnych czasach, nawet dzieci, nawet wyrostki na okrutnego najeźdźcę Szweda rękę podnoszą... Któżby tego nie zrobił?.. I teraz spokojnie mamyż patrzeć, gdy na setkach, tysiącach wozów chciwy Izrael, ulubieniec króla Karola Gustawa, wywozić będzie skarby i mienie świątyń i domów naszych?.. Gdzież jest drugi naród taki, gdzie lud, któryby na to pozwolił?..

Uniósł się gniewem stary pan Wojciech Różyczka, ręką żylastą raz po raz w stół uderzać zaczął, nogą w podłogę trzaskać.

— Kto wie, czy te szwedzkie pluchy i świętych obrazów z kościołów naszych łowickich z ołtarzy nie powydzierają?.. Kto wie?.. Przecie nikt im w tej zbrodni nie przeszkodził.. Nikt nawet palca na nich nie zakrzywi...

— Bośmy bezbronni — odrzekł z żalem powroźnik Mateusz Zwada—ja pójdę na Szweda z kijem, kiedy on i armatę i strzelbę ręczną i miecz ostry ma przeciw mnie wymierzony...

— Oj! człeku ostrożny!—zawołał krewki pan Różyczka—a mój Pawełek i sąsiada Kacpra Michałek nie pokazali-ż nam, gdzie broni dostać...

Porwał się właściciel gospody „Pod złotą rybą“, podbiegł do wzburzonego pana Różyczki za rękę go pochwycił i jął błagać, aby się uspokoił i umilkł.

— Toć żeście sąsiedzie drogi, za złe dzieciuchowi mojemu mieli, że Szwedziskom pijanym się sprzeciwiał, a sami co teraz wygadujecie?

Odskoczył stary od usiłującego uspokoić go gospodarza, porwał za czapkę, nasunął ją w wielkim gniewie na głowę i z izby precz iść chciał, ale otoczyli go obecni, zastąpił mu drogę do drzwi sam pan Kacper.

— Usiądźcie!.. zostańcie z nami, sąsiedziel—nalegał.—Toć sami dopiero co potępialiście naszych chłopaków... sami trwożyliście się, że nieszczęście na nasze zagrody sprowadzić mogą... A sami co chcecie robić?.. Z kiejem w rękę iść na Szweda?..

— Dostyc już złego wycierpieliśmy... — odrzekł wciąż gniewny pan Wojciech. Pytacie, dla czego na dzieciuchów wyrzekałem?.. Ano toć wiadoma rzecz, że inaczej człek gada, gdy go gniew i zawziętość opanuje, a inaczej całkiem, gdy nim gniew nie trzęsie, jako wi-

cher drzewem przydrożnem podczas burzy... Wy też coś tu za dużo o jakimś kiju mówicie!.. A w bagnach pod Konieczpolem, Przyrowem i Częstochową, mało to Szwedów naginęło, choć broń mieli nie gorszą od tej, którą mają Szwedzi w Łowiczu?.. Któż ich tam zagnał i potopił?.. Chłopskie widły, cepy i kosy... Chłopsztwo nie mogło wytrzymać i spokojnie patrzeć, jak z świątyń pańskich domostw i chat naszych łupili i rabowali srodzy nieprzyjaciele mienie i dobytek... Nie mogli wytrzymać i panowie szlachta, gdy Szwed targnął się na skarb całej ziemi polskiej, na klasztor Jasnogórski w Częstochowie... I cóż się stało na Boga?.. Czyż w Częstochowie przeciw Szwedom broniło się tysiące wojska polskiego?.. zbrojnego rycerstwa?.. Jako żywo, nie!.. Garść szlachty i wieśniaczego ludu obroniła Częstochowę od zdrajców i od wielotysięcznego żołďactwa szwedzkiego, któremu wślawiony w wielu bitwach generał Müller rozkazy wydawał, przechwalając się, że w trzy dni „kurnik Jasnogórski“, jak bluźnierczo nazwał klasztor cudowny i czczony przez cały lud polski, zburzy i w proch zetrze, skarby i obrazy zabierze, relikwie święte zniszczy, a wszystkich księży Paulinów wraz z bohaterskim ich przeorem, księdzem Augustynem Kordeckim na szubienicach powiesić każe...

Tak mówił ufny w siłę i potęgę ziemską, a zapomniawszy o innej, boskiej, wobec której niczem są wszelkie armaty, miecze, wszelkie bezbożne i bluźniercze pogroźki, wszelkie podstępny, fałszy i złodziejskie zapędy... Moc Boża, która płonęła w sercach obrońców Jasnej Góry, miłość ojczyzny, która ich krzepiła w bohaterskiej walce przeciw groźnym zastępom szwedzkim, sprawiła, że stał się cud. Przez zdrajców naprowadzony i pewny że się obficie obłowi złotem, sławny i doświadczony w bojach Müller ze wstydem odstąpić musiał i uznać się za zwyciężonego przez garstkę obrońców Częstochowy... Gdyby tak kraj nasz cały ożywił się i wezwawszy na pomoc Boga, przeciw Szwedom wystąpił, jużby ich napastnicze, krwi i złota chciwe zastępy nie deptały zuchwale świętej ziemi naszej...

Ucichł stary Wojciech, opuścił posiwiąłą głowę na piersi i westchnął żałośliwie.

Gniew go opuszczał, ale natomiast ogarniała rozpacz...

— Ot, i my tutaj zebrani!..—rzekł z gorącością — o czemże radzimy?... Ano o wszystkim, jeno nie o tem, jak temu rozbójnikowi Izraelowi przeszkodzić w wywiezieniu z Polski na dwóch tysiącach kilkuset wozach niezmiernych skarbów i mienia naszego.

Przygnębienie odbiło się na pobladłych licach zebranych w gospodzie mieszczan.

Bezradnie opuścili ręce i głowy. Żarła ich serca rozpacz, nie wiedzieli co odpowiedzieć, ani co robić w tak okropnem nieszczęściu.

Około niedopitych szklanic z miodem brzęczały, latając chciwe na słodycz pierwsze wiosenne muchy, za oknem świergotały wróble i jaskółki...

Ponure milczenie, przygnębiająca cisza zapanowała w izbie.

Nagle dał się słyszeć głos starczy, drżący, lecz dziwnie trafiający do serca:

— A o głównej dźwigni życia, o nadziei, wielkiej chrześcijańskiej cnocie zapomnieliście, waćpanowie?.. Nietylko pojedynczych ludzi, ale i narody podtrzymuje ona w złej chwili, w czasie huraganów i burz... Nie zakładajcie rąk bezradnie... W chwili wyjazdu Szwedów z Łowicza uzbrojcie się w widły, cepy, kosy, oszczepy myśliwskie, kto co ma pod ręką i wyruszcie w ślad za złoczyńcą Izraelem... Ci Szwedzi, których on w mieście zostawi, nie poradzić przeciwko wam nie będą mogli... Miasto łatwo opanujecie... Nie wszyscy jeszcze w Polsce ulękli się i padli na twarz przed wrogami... Żyje natchniony Kordecki... bije ich nasz wielki wódz Czarniecki... Nie mogą

go ująć Szwedzi w swoje szpony. W Tyszowcach zaprzysięgła szlachta na nowo wierność prawowitemu królowi, chłopci zabijają i topią w błotach i trzęsawiskach nad Wartą i Pilicą zbrojne, za łupem rozbiegłe po wsiach, osadach i miastach naszych hufce szwedzkie. A i coś ważniejszego waszmość panom mam do powiedzenia...

Obecni z podziwem słuchali i spoglądali na mówiącego.

Zkąd się wziął w izbie?..

Nikt nie zauważył, kiedy wszedł do niej.

Nic dziwnego, nazbyt wielki frasunek ogarnął zebranych w niej mieszczan.

Przybyły zwolna drzwi otworzył i stojąc w progu, przez chwilę przysłuchiwał się, o czym radzili, a właściwie nad czym rozpaczali zebrani w gospodzie mieszczanie.

Zaraz ze słowami otuchy zwrócił się do nich i niemal zgromił za słowa, nie dowodzące hartu ducha i gotowości do poświęcenia wszystkiego dla ojczyzny.

Człowiek to był nędznie odziany, w zwyczajną zgrzebną siermięgę, o kiju pielgrzymim w rękę, duże sakwy miał przewieszzone przez ramię.

Ale pomimo ubóstwa jego odzienia od całej jego wyniosłej postaci, przez wiek pochylonej, z twarzy okolonej długimi, śnieżną

siwizną okrytych włosami, z oczu poważnie ale i przedziwnie pocziwie przed siebie patrzących, biła jakby jasność, jakby święte natchnienie i moc duszy czystej i cnotliwej.

Obecni z uszanowaniem zapraszali starca, aby spoczął wśród nich, gdyż zauważyli, że widocznie ze znużenia i wyczerpania sił chwiał się na nogach i z trudem podpierał na swym pielgrzymim kiju, aby nie upaść.

Skorzystał więc z zaproszenia do spoczynku i usiadł na ławie, mówiąc:

— Pielgrzym jestem... Ale z jałmużny nie żyję...

— A skądże i dokąd Bóg prowadzi?.. — zapytał ciekawie właściciel gospody.

Nie zaraz odpowiedział starzec, głowę opuścił na piersi, westchnął, poczem odrzekł powoli głosem cichym.

— Dużoby o tem mówić... Ani tu miejsce, ani czas... Z daleka idę... od wsi do wsi, od miasta do miasta...

— Na Boga!..—zawołał pan Kacper Miotłka — toście zapewne słyszeli o nowej wielkiej klęsce wojska naszego pod Gołębem...

Westchnął znowu starzec, chwilę milczał, po czole tysiącznemi zmarszczkami pooranem ręką wychudłą powiódł, wreszcie odrzekł.

— Bóg doświadcza nasz dzielny polski naród... zsyła nieszczęścia i klęski niesłycha-

ne, jakby ostateczna zagłada nas czekała... Pamiętajmy jednak, że póki naród żyje, to tak, jako i pojedynczemu człowiekowi, nie wolno mu tracić wiary, nadziei i miłości... Wiary, że prędzej czy później niesprawiedliwość i podłość, zdrada i wszelka zbrodnia będą ukarane... Nadziei, że po dniach smutku, pożogi i wojny zabłyśnie słońce zwycięstwa prawdy i zapanuje pokój i dni szczęścia... Nie wolno mu wystudzać w sercu miłości do wszystkiego co wzniosłe i szlachetne... zapominać, że wobec majestatu Bożego wszyscy ludzie i wszystkie stany są sobie równe, gdy dobro ojczyzny mają na celu... W czasach dzisiejszych, więcej niż kiedykolwiek, potrzebna nam ta cnota, bo łącno zginać możemy, jeśli cały lud polski, jeśli wszystkie stany nie połączą się w jedną wielką całość, nie wystąpią zgodnie przeciw okrutnemu najeźdźcy.

— O Szwedach mówicie — rzekł stary Wojciech Różyczka.

— O Szwedach—odrzekł starzec—bo zguba nam pewna grozić będzie od nich, jeśli wśród niepowodzeń oręża naszego stracimy nadzieję, że wroga, który jako wilk, krwi i żeru chciwy, napadł na nasz kraj, zwyciężyć nie będziemy mogli... Pytacie o przegraną bitwę pod Gołębem...

— Bo to podobno ostatnie wojsko nasze

Z toni.—2.



zostało tam rozbite i wódz jego, dzielny i niepokonany dotychczas przez nieprzyjaciół Stefan Czarniecki dostał się do niewoli i do Szwecji został wywieziony...

— Któż to te wieści w Łowiczu rozgłosił?..

— A sami Szwedzi.. Na rynku je przy radosnem biciu w bębny i dźwiękach muzyki zebranemu ludowi obwieszczali — mówił pan Wojciech Różyczka — serce się krwawiło z bólu, gdy sam pułkownik Izrael, otoczony licznem gronem oficerów, zachęcał lud, aby krzychał radośnie: „Niech żyje król Karol Gustaw!..“ „Hańba Janowi Kazimierzowi, który jako spłoszony zając, uciekł z własnego kraju!..“ Wiele łzy miało w oczach, gdy tak bluźnił obrzydły Szwed i zniesławiał imię naszego nieszczęśliwego monarchy, o którym nawet dziecko małe wie, że mężnego jest serca i jeśli ustąpił z kraju, to jeno dla tego, aby środki ratunku dla ginącej ojczyzny obmyślić i w chwili sposobnej na ratunek jej pospieszyć...

— Tak ci jest... świętą mówicie prawdę — żywo starzec potwierdził — a przytem wiedziecie, że nasz nieszczęśliwy monarcha nie byłby nigdy ustąpił wobec wroga, gdyby nie jawna zdrada tych, którzy bronić ojczyzny byli obowiązani... Dziś przyszło opamiętanie, gdy Szwed połowę Polski w perzynę obrócił,

mieczem spustoszył, gdy świątynie pańskie na stojnie poprzemieniał, gdy niezmierne skarby z kraju, jako zdobycz wojenną wywioził. Jako słońce na niebie, nie byłoby do tego nigdy przyszło, na co obecnie patrzymy, gdyby nie zdrada... Ale Bóg zsyła na zdrajców karę i opamiętanie... Już widzą, co znaczą obietnice wroga, gdy dachy nad głową im spłonęły, a mienie i dobytek wróg zabrał jak swoje. Mówicie, że Izrael, wódz szwedzkiej załogi tu-tejszej głosił publicznie, że ostatni wódz polski, który nie chciał się przed nim upokorzyć, dostał się do niewoli, że wojsko jego zniszczone... Kłamstwo to ohydne... Jeszcze większe, jak to, że generał Müller pod Częstochową pojmał samego króla Jana Kazimierza i do Szwecji odesłał, gdzie na zawsze jako więzień przebywać będzie zmuszony... Kłamstwa to wierutne, obmyślane w tym celu, aby naszym otuchę odebrać, serca zatrwożyć, wiarę i nadzieję w zwycięstwo odebrać... Nietylko podobne kłamstwa Szwedzi głoszą u nas w kraju, ale i za granicą słowem i drukiem publikują... Ano!.. mieliby ochotę zniszczyć hufiec Stefana Czarnieckiego, a jego samego, choćby na szubienicę zaprowadzić, ale dotychczas nie mogli tego dokazać i da Bóg, nie dokażą... Inny już duch budzi się wśród ludu naszego... Przejrżeli już wszyscy, co swój a co obcy...

Przejrzeli i zdrajcy, że mniej otrzymali, niż się spodziewali i że każdy uczciwy człowiek, choćby wróg nawet, oczy od nich ze wstrętem odwraca, rozmowy unika, z pogardą się spogląda...

— To mówicie, że pod Gołębiem Stefan Czarniecki ocalał? — zapytał właściciel gospody, podsuwając starcowi szklanekę z miodem, którą ten zwolna do ust poniósł...

Widać było, że zmęczonym był i że napój ten orzeźwił go i siły wyczerpane wzmoćnił...

— Pod Gołębiem raczej zwycięstwo, niż porażkę nasi odnieśli—mówił—jeżeli się zważymy na to, że tam na niewielkie hufce Czarnieckiego napadła prawie cała armia szwedzka z samym królem Karolem i z jednym z najlepszych jego wodzów ambitnym i walecznym Duglasem, który wiele złego już naszym wyrzadził...

— Jakby się nauczyli Szwedzi od Czarnieckiego, tak zręcznie sidła na niego zastawili między Wisłą a Wieprzem... Nie byliby mogli nigdy tego uczynić, gdyby nie pewien zdrajca, chciwy na szwedzkie talary... Ten to zbrodzień doniósł królowi szwedzkiemu, gdzie się znajduje Czarniecki i że niewielkie ma siły. Skorzystał król z tego i posłał o świtanie w dniu ósmym lutego Duglasa, aby wciągnął

w bój przeciwnika, nim on z głównymi siłami nadciągnie... Posłuchał Duglas i z wielkim impetem na przednie nasze straże uderzył... Te pierzchnęły przed dziesięćkroć liczniejszym nieprzyjacielem, przyczem znaczna część naszego rycerstwa na lewym skrzydle walcząca została zepchnięta z wysokiego brzegu Wisły na lód, który rzekę pokrywał i do niewoli poszła... Wtem nadciągnął sam król szwedzki z głównymi siłami i z armatami... Czarniecki śmiało bój przyjął, ale wnet spostrzegłszy, że na jednego z jego żołnierzy stu Szwedów wypada, dał znak do odwrotu i wkrótce zniknął z oczu nieprzyjaciół, aby ze swej strony wpaść im na karki wtedy, kiedy się tego najmniej będą spodziewali... Powiedziałem, że pod Gołębiem nie nasi, ale raczej Szwedzi ponieśli porażkę, jeśli zważymy, że w tej bitwie zapalczywy rycerz, brat króla szwedzkiego, zламаł nogę, gdy podczas walki upadł z koniem na ziemię; że sławny na zachodzie Europy rycerz, króla duńskiego krewny, nazwiskiem Waldemar Krystyerna, śmiertelnie raniony, do Lublina przewieziony, wkrótce umarł; że ulubiony króla Karola dowódca straży królewskiej poległ na poboju.

— Nasi strat takich nie ponieśli, a opowiadanie Szwedów, że wzięli Stefana Czarnieckiego do niewoli, a całe wojsko jego zniszczyli,

jakem powiedział, jest wierutnem kłamstwem... Ale nie kłamstwem jest, że w Rudniku o mało nasi nie porwali króla szwedzkiego z plebanii, gdzie zaledwie do śniadania usiadł, wpadł do wsi na czele swego pułku rotmistrz Szandrowski i do śpiesznej ucieczki go zmusił. Uciekał król w takiej trwodze, że nawet kapelusza zapomniał, strzelając z pistoletu do naszych, ale bez szkody dla nikogo. Jenó przytomności umysłu jednego z żołnierzy swojej straży przybocznej zawdzięczać może ocalenie swoje... Żołnierz ten z narażeniem życia podał mu konia, otoczył strażą i w lasy wprowadził, gdzie już wcześniej wojsko królewskie cofać się przed naszymi zaczęło.

— Ale prawdziwa klęska spotkała Szwedów pod Kozienicami, gdzie wódz ich Tornekild na czele ośmiu chorągwi dążył do połączenia się z królem Karolem. Napadł nań niespodziewanie Czarniecki i tak pobił, że nawet nie było komu uwiadomić króla szwedzkiego o klęsce... Jak więc widzicie, nie jest Szwed tak niezwyciężonym, za jakiego się przed światem ogłasza... Zdrada sprawiła, że prawie bez wystrzału pozajmował nasze ziemie i grody... Widzę, żeście tu, w Łowiczu, okrutnie serca potracili... Widać, że was srodze Szwed uciska i gnębi...

Westchnienie wyrwało się z piersi po-

czciwego pana Kacpra Miotelki, energiczny zaś stary rzeźnik Różyczka zaklął gniewnie i pięści zacisnął.

— Ha! — zawołał — ani człowiek wie, ani się spodziewa, co go czeka, gdy pod jarzmo wroga łeb musi nachylić... W naszej okolicy o panu Stefanie Czarnieckim nie słyszą... Szwed się nikogo nie lęka i bezpieczny, rabuje, niszczy, łupi wszystko, na co jenó ślepiami spojrzy...

— To źle!... ale nie traćcie nadziei... Nasi w jednej chwili mogą was od jarzma i szwedzkiej przemocy uwolnić...

— Dałby to Bóg!... Dawnośmy tutaj podobnej mowy nie słyszeli... Rozpacz nas już ogarnia... Szwedzi nas okrutnie duszą...

— To pewnie i o zwycięskiej bitwie pod Warką nie słyszeliście?...

— Ani słówka... Pułkownik Izrael — srogi to człowiek, na złoto chciwy, jakby w żelaznych kleszczach miasto i całą okolicę trzyma... Do miasta nikogo obcego nie wpuszcza... Dziwno mi też, że dotychczas nikt ze Szwedów za wami tu do gospody nie wpadł, aby się dowiedzieć, kto jesteście i dokąd dążycie...

— Starzec jestem... broni już ręka moja nie udźwignie... To i choćby mnie Szwedzi w swe szpony dostali, wkrótce puściliby mnie

na wolność, bo oni jeno młodych i silnych się obawiają...

— Bardzom ciekawy wiadomości o owej bitwie pod Warką—rzekł pan Wojciech, przysuwając się do starca — opowiedzcie, bo jako balsam na rany, są wasze słowa w tej chwili nieszczęścia i przygnębienia...

— Bóg mi świadkiem, żem zmęczony i znużony bardzo... radbym odpoczął... — odrzekł starzec—ale spełnię jeszcze waszą prośbę... Bitwa pod Warką niedawno się odbyła... A nigdy może Czarniecki z taką sławą dla oręża polskiego nie walczył i takiego zwycięstwa nad nieprzyjacielem nie odniósł. Miasto Warka, nad rzeką Pilicą położone, która jako zwykle na wiosnę, groźnie wezbrała i spienionemi wody wraz z płynącemi lodami mosty i brody niepodobnemi do przebycia uczyniła. Tymczasem dano znać Czarnieckiemu, że wojsko szwedzkie, pod dowództwem Fryderyka, margrabiego de Baden, całkiem bezpiecznie rozłożyło się w pobliżu Warki i srode łupy okolicę. Pospieszył zaraz, aby się naocznie przekonać, czyby się nie dało wroga przetrzepać i łupy mu odebrać. Szybkiem jako błyskawica ruchem, przybiegł z hufcami wyborowego rycerstwa nad Pilicę pod Warką i zaraz spostrzegł, że nieprzyjaciel obozuje po drugiej stronie rzeki, czując się zupełnie bez-

piecznym, gdyż most całkiem był nieprzydatny do przeprowadzenia po nim wojska na drugą stronę rzeki, a z powodu wiosennego przyboru wody, ani pomyśleć było można o przebyciu jej w bród.

Chwilę zawahał się wielki nasz wódz, co robić, poczem słysząc głosy trąb szwedzkich, wzywające żołnierzy do pochodu, zapalał gniewem, że wróg w oczach jego bezpiecznie ująć może pogromu.

Spostrzegli Szwedzi Czarnieckiego i jego rycerstwo z drugiego brzegu rzeki i zaczęli głośno wołać, aby do nich szedł i kotły zbierał, które czyścić po ugotowaniu strawy porannej trzeba było. Dowódcy szwedzcy nasmiewali się też z naszych, mówiąc, że jeżeli się zaraz z brzegu rzeki nie ruszą, to ich kulami armatniami poczęstują.

— Zobaczmy, jak to zdzierać nogi będziecie i jako szaraki przed strzałami myśliwych umykać...

— Inni bezwstydnie obelgi i przekleństwa miotali na Polskę i Polaków, wymyślając Czarnieckiemu i wyzywając go po grubiańsku.

— Dość tego!—zawołał Czarniecki—natrzasa się nieprzyjaciel, śmiały, że go zasłania rzeka, ale pokażmy mu, że jak jego nie zatrzymało morze, które przebył, aby uciemniać nasz naród, tak i nam, Polakom, nie

przeszkadzają wody, abyśmy wypędzili z kraju najeźdźnika... Za mną, bracia, na nieprzyjaciela! Za mną wszyscy, którzy się nie lękacie śmierci!..

— Odkrzyknęło radośnie na to wezwanie rycerstwo polskie i gdy Czarniecki pierwszy wspiał swego rumaka ostrogami i rzucił się w wodę, aby wpław rzekę przebyć, wszyscy poszli za jego przykładem.

— Po moście zaś naprędce naprawionym przechodziły już lekkie chorągwie Krzysztofa Wąsowicza.

— W pół godziny czasu trzy tysiące pałającego żądzą do boju i pragnącego zwycięstwa nad urągającym mu wrogiem rycerstwa polskiego rozpoczęło bitwę.

— Książę Fryderyk nie zdążył jeszcze uszykować swojego wojska do krwawej rozprawy, gdy już Polacy zwyciężać zaczęli. Minister szwedzki Ehrenstein, który znajdował się przy boku księcia, pierwszy rzucił się do ucieczki, zwróciwszy konia w stronę drogi, prowadzącej do Czerska. To samo uczynił hrabia Silpenbach, który szczególnie lękał się Czarnieckiego i jego husarzy, gdyż w walkach z nimi wszyscy jego krewni i przyjaciele otrzymali rany, lub śmierć znaleźli... Przez dwie godziny trwała zawzięta walka, aż zupełne zwycięstwo było nagrodą dla Czarnieckiego za

jego bezprzykładną waleczność i męstwo... Król szwedzki nie chciał wierzyć, aby książę Fryderyk, na czele wyborowego wojska stojący, mógł się dać tak sromotnie pobić, że aż sam wraz z dwoma znakomitymi towarzyszami swymi uchodzić do Warszawy musiał, przebrany w chłopską siermięgę i przez kilka dni żywiąc się jedynie kawałkiem suchego chleba i pijąc wodę z napotkanych strumieni, gdyż obawiał się wstąpić do chaty.

— Gdyby nie lochy w ruinach zamczyska w Czersku, gdzie ukrył się wraz z Silpenbachem i Ehrensteinem, niewątpliwie byłby się dostał w ręce wysłanej przez Czarnieckiego pogoni, tak jak się dostali wtedy inni znakomici rycerze szwedzcy, towarzysze jego, a mianowicie: margrabia Adolf, krewny królewski, hrabia Felkenstein, Weger i Poter. Zwykłych rycerzy szwedzkich, wziętych do niewoli w bitwie pod Warką, naliczono czterystu... Przegrana ta wielce zabolala Szwedów i ich króla. Za głowę Czarnieckiego obiecują dać tyle złota, ile zaważy... Ale wątpliwa rzecz, czy znajdzie się pod słońcem zbrodniarz, któryby za złoto odważył się podnieść rękę na tak wielkiej sławy rycerza i bohatera...

Umilkł starzec, wychudłą dłonią białą jako śnieg włosy z nad czoła odgarnął i po-

dniośszy ku niebu oczy, szeptał jakby w ekstazie:

— Sursum corda!.. Bóg wiele może zmienić w jednej godzinie, a kto mu szczerze ufa, nie zaginie...

Właściciel gospody, pan Kacper Miotłka, który od pewnego czasu bacznie przyglądał się starcowi i jak się zdawało, coś sobie przypominał, nagle porwał się z miejsca i stanął przed nim, składając ręce na piersiach i pochylając głowę.

— Nie może być inaczej... Nie zawodzą mnie oczy moje... Choć okrutnie straszliwa jakowaś zgryzota zmieniała waszą postać i lica, ale poznaję was, jaśnie wielmożny panie!.. Wyście to pan możny i dobry... Wyście w Warszawie na dworze królewskim opiekowali się sierotami po poległych na polu bitwy rycerzach... Wyście mieli staranie o wydobywanie z niewoli tatarskiej i kozackiej naszych jeńców, gdy po srogiej pod Beresteczkiem bitwie wielu z młodzieży naszej pod ojczyście nie wracało niebo... Wtedy i na moich synów, Adama i Kazimierza, przez pół roku nadaremnie czekałem... Nie wracali... Codzień wyglądaliśmy ich z moją, dziś już nieboszczką żoną, mając nadzieję, że wrócą z wojny te sokołatka... Ale nie wracały... Pamiętam, jakby teraz to było, przyszedł sąsiad Wojciech

Różyczka i powiada: „Do Warszawy trzeba... do kancelaryi królewskiej... do jaśnie wielmożnego podkomorzego Tomasza Rawskiego. Pan to wielce dobrotliwy... Staraniem jego niejedni rodzice odzyskali zaprzepaszczone w niewoli pogańskiej synów... Idźcie do niego...”

— Posłuchałem... poszedłem... Niełatwo dostałem się do zamku i do kancelaryi królewskiej... Czasy znów były niespokojne... Zagrozała nam nowa wojna ze zdrajcą Chmielnickim, który pod Batowem pobił naszego hetmana Marcina Kalinowskiego... Zaledwie dostałem się do was, miłościwy panie, tak wszystko w zamku wrzało i gotowało się, gdyż sam król Jan Kazimierz wybierał się na wojnę, aby obecnością swoją ożywić męstwo i zagrozić do zwycięstwa serca rycerstwa naszego. Niedawno to było, bo zaledwie trzy lata temu, a jakże zmieniliście się, miłościwy panie!

Umilkł na chwilę właściciel gospody i pochylił się do ręki starca, chcąc ją pocałować.

Ale ten nie dopuścił do tego, podniósł się z ławy i ujął za ręce pocziwego Miotłkę.

— Mógłbym zaprzeczyć słowom waszym — rzekł z powagą — ale brzydzę się wszelkiem

kłamstwem, chociażby ono nieszkodliwem dla nikogo było... Dziwi mnie jeno niepomieranie, że poznaliście mnie...

— Miłościwy panie!—zawołał wzruszony Miotelka—zaledwie kilka razy was widziałem, ale poznałbym was wszędzie i zawsze... Nawet nie w tem przebraniu... Toć wyscie w serce moje, zrozpaczone po stracie synów, wiali otuchę, że w wojnach z Tatarami i Kozactwem nie wszyscy za poległych uznani i ogłoszeni rzeczywiście polegli, że wielu wróg uprowadza lub rannych zabiera i wśród stepów Krymu ukrywa... Tam używa ich do robót cięższych i strzeże, aby nie uciekli do swoich... Gdy się o nich rodziny dopytują, a okupu dużego poganie się za nich nie spodziewają, ukrywają ich i wołają, aby przez całe życie, jako niewolnicy pracowali bądź przy roli, bądź w kopalniach, bądź na okrętach, gdzie do wiosłowania potrzeba ludzi silnych...

— Choć taka niewola, częstokroć równa się torturom, zawsze lepsza niż śmierć, zwłaszcza dla rodzicielskiego serca, dla którego śmierć dziecka największem jest nieszczęściem.

Starzec zamyślony patrzył na mówiącego ze wzruszeniem, poczem rzekł:

— Tak... przypominam sobie, że dokładnych wiadomości o synach waszych, jakoby poległych pod Beresteczkiem i Batowem ze-

brać nie mogłem... Zapisani byli na liście tych, którzy zginęli podczas bitwy, ale stać się to mogło przez pomyłkę, bo nie znaleziono dowodów, w którym dniu polegli i gdzie pochowani zostali... A że bili się w hufcu, który pan rotmistrz Sierawski prowadził na hordy tatarskie, posiłkujące zdrajcę Chmielnickiego, więc mogli paść ranni na polu bitwy, a następnie przez pogaństwo do niewoli mogli być zabrani, jako to już powiedziałem...

Pan Miotelka ocierał z łez oczy. Wspomnienie o synach, których za poległych wszyscy uważali, a o których starzec mówił, że o ich śmierci pewnych dowodów nie znalazł, rozrzewniło go i w sercu zapaliło iskrę nadziei.

A może przyjdzie taka chwila, że jeszcze oczy jego ujrzą umiłowanych synów, że przyciśnię ich do rodzicielskiego serca, a oni opowiedzą mu, jak za ojczystą ziemią, za rodziną i swoimi tęsknili...

Widząc łzy rozrzewnienia pocziwego pana Miotelki, starzec położył swe wychudłe dłonie na jego głowie, uściśnął go wzruszony i szepnął:

— Nie traćcie nadziei!.. Rozmaicie Bóg zasmuca i pociesza ludzi... Tym jeno biada, którzy stracili wiarę w lepsze jutro...

Otrząsnął się wkrótce ze wzruszenia pan Miotelka, otarł z łez oczy i jął wypytywać

starca, co za srogie losy sprawiły, że ogląda go w pielgrzymiej, ubogiej siermiędze, z śladami udręczenia i bólu na licach, wynędzniałych i pożółkłych, w których z trudem rozpoznać można było niedawnego jeszcze dostojnika na dworze królewskim, otoczonego liczną służbą i przybranego w złotogłów i jedwabie, a w każdej chwili mającego przystęp do osoby i majestatu królewskiego.

— Z pewnością wróg to, z pewnością Szwed okrutny sprawił — rzekł z żalem, wtrącając się do rozmowy pan Wojciech — nikt inny, jak Szwed nie uczyniłby tego...

— Juźciż że Szweda to sprawa... Wraża to robota...

Odrzekł na to starzec, z ciężkiem westchnieniem:

— Nie mylicie się, dobrzy panowie, że wróg to sprawił, żem pokutną siermięgę na stare lata przywdział, żem się wyrzekł dostojństw ziemskich, majątków i złota... Wszystko, co posiadałem, oddałem bowiem na wykup z niewoli tatarskiej i tureckiej jeńców naszych. Niech wróć do kraju, niech zobaczą, w jakim jest nasza miła ojczyzna niebezpieczeństwie... Niech doświadczeniemi rękoma pochwycą za miecze... Niechaj kraj z toni ostatecznego upadku ratują...

Pochylili przed starcem głowy obecni, zaś pan Miotelka rzekł:

— Ale o sobie zapomnieliście, miłoścyw paniel.. Toć część majątku trzeba było dla siebie pozostawić... Chyba że wróg wam tę resztę zabrał?.. wróg doprowadził was do takiej nędzy i opuszczenia...

Westchnął z rozpaczą starzec, siwą głowę opuścił ku ziemi.

— Jeszcze ja w nazbyt małym opuszczeniu i ubóstwie żyję... Jeszcze za małą pokutą, aby zmyć z nazwiska rodowego hańbę największej zbrodni, jaką na ziemi człowiek popełnić może...

— Na Boga!.. jakąż to zbrodnię popełniście?.. Wy, którzyście wzorem cnoty i miłości bliźniego?..

Nie zaraz odpowiedział starzec, złożył ręce jak do modlitwy, później je wyciągnął przed siebie, jakby jakieś okropne widmo chciał w dal odepchnąć i podnosząc zrozpaczone oczy na obecnych, rzekł boleśnie:

— Jam jest zdrajcy Hieronima Radziejowskiego krewnym... Jam się dał uwieść jego namowom i razem z nim jeździłem do Sztokholmu... Tam byłem świadkiem, jak ten zbrodniarz, piastujący do niedawna jeden z najprzedniejszych urzędów w Rzeczypospolitej naszej, znający wszystkie słabe strony obro-

ny krajowej, gwoli zadowoleniu obrażonej przez Jana Kazimierza ambicji swojej, zdradzał przed Karolem Gustawem monarchę swego, namawiał go do zbrojnego najścia na Polskę, która wycieńczona wojnami z kozactwem i Tatarami, nie będzie mogła skutecznie się bronić... Jam słuchał, jak za tę zdradę obiecywał król szwedzki Radziejowskiemu, niedawnemu podskarbiemu koronnemu, nagrody pieniężne i księstwo udzielne... A on zapewniał go, że skarby wielkie, nagromadzone w klasztorach, świątyniach i grodach polskich, że prowincye po kilkakroć przewyższające całą Szwecyę, składające Rzeczpospolitą polską, staną się jego dziedzictwem... „Dla czego ma Jan Kazimierz panować w Polsce, a nie Karol Gustaw?”—zapytywał podstępnie, aby podrażnić dumę zarozumiałego i chciwego podbojów i łupów nowego monarchy szwedzkiego...

— I stało się bezprzykładne w dziejach przestępstwo. Układnemi słowami zdrajcy ujęci, magnaci polscy, którym w imieniu króla szwedzkiego przyrzekał udzielne księstwa i korony książęce na skronie, jak na przykład Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański, jak Janusz i Bogusław książęta Radziwiłłowie, dali się uwieść i bez wystrzału, bez wydobywania szabli wpuścili okrutnego najeźdźcę do ojczy-

zny, złamali święte przysięgi wierności dla pomazańca Bożego, przez cały naród polski umiłowanego, prawowitego pana i króla Jana Kazimierza... Zdrajca w tryumfie wprowadził wroga do ojczyzny, wskazywał mu jak i kiedy najskuteczniej może jej zadać ranę śmiertelną... Wyrodny syn prowadzi okrutnego zbójcę, aby zdradziecko mógł zadać cios śmiertelny dobrej a bezbronnej Matce, opuszczonej przez tych, którzy jej swe szczęście i dostojęństwo zawdzięczali...

— I ot, widzimy, patrzymy na to co się dzieje... Szwed połowę Polski w gruzy i w perzynę obrócił... Od chwili, gdym ujrzał pierwsze wozy z łupami przez Szwedów z Wielkopolski do ich ojczyzny wysyłane, rozpocząłem pokutę, zdrajcy Radziejowskiemu rzuciłem w twarz obelgę, zagroziłem przekleństwem i pomstą Bożą, jeśli nie zejdzie z drogi zbrodni, sam zaś rozpocząłem pokutę... Widzicie teraz, że cokolwiekbym czynił na ziemi, nie odpokutuję tak wielkiej zbrodni, jaką jest zdrada ojczyzny...

Ponure milczenie zapanowało w gospodzie.

Upłynęło sporo czasu, kiedy rzekł stary Wojciech Różyczka:

— Prawdą a Bogiem, to przecież wyście nie zdradzali nikogo, ani niczego... Toć jak

sami mówicie, towarzyszyliście jeno do Sztokholmu nikczemnemu zdrajcy...

— Tak — odparł żywo starzec — ale jam krewny tego potwornego człowieka... Na cały ród nasz spada ciężka hańba... Wszyscy członkowie tego rodu powinni wzniosłymi i ofiarnymi czynami odpokutować, naprawić zło i krzywdę, którą matce-ojczyźnie wyrządził wyrodny były podkanclerzy Hieronim Radziejowski... Ja, starzec zgrzybiały, miecza udźwignąć w rękę nie mogę... Nie wiele na polu bitwy mógłbym korzyści przynieść, ale chodzić po kraju, jak długi i szeroki, i budzić ducha wśród wielkich i maluczkich, wskazywać im drogę prawdy i obowiązku, sił mi na to starczy... Żywym też pragnę być przykładem, jak należy oplakiwać swe winy i pokutować za nie. Nie o sobie, nie o wygodach, jeno o wydobyciu z toni ojczyzny nam myśleć... Toż własne jej dzieci w ręce oprawców ją wydają...

Ukrył twarz w dłoniach i starą jego pierśią płacz i łkanie wstrząsnęło, łzy ukazały się w zamglonych oczach...

Ze czcią i podziwem patrzyli nań obecni.

W duchu pomimo woli zapytywali się, czy oni byliby zdolni do podobnego poświęcenia i pokuty...

Staremu panu Wojciechowi Różyczce na-

gle przyszło do głowy, co uczynił, aby przeszkodzić wywiezieniu skarbów z Łowicza, zgromadzonych przez Izraela, pułkownika szwedzkiego. Toć w Łowiczu i w okolicy z łatwością możnaby było zebrać nie jedną setkę młodych zuchów z widłami, kosami i cepami, zastąpić Szwedom drogę, gdy w lasy łączycie błotnistymi drogami się zapuszczą, uderzyć śmiało wśród nocnych ciemności i łupy, między którymi są i święte relikwie z katedry łowickiej i innych świątyń, odbić, a następnie w bezpiecznem miejscu przechować...

— Jeśli ten oto starzec, który opływać mógł we wszystko, co jeno majątek i stanowisko człowiekowi dać może, wyrzekł się wszelkiego szczęścia, aby ratować ojczyznę, to i on, Wojciech Różyczka, cośkolwiek dla kraju w chwili tak groźnej zrobić powinien... I nie tylko on!.. Powinni to zrobić i inni!.. Na Boga! nie powinni pozwolić Szwedom zabierać świętości i skarbów i wywozić ich za morze!.. Niech jeno ludzie z Łowicza i z okolicy wszyscy wystąpią przeciw wrogowi, a nie będzie on się tak panoszył i wszystkich ze skóry obdzierał...

Zwierzył się z swych myśli zebrany, a ci w zupełności przyznali mu rację.

Starzec jeno był innego zdania.

— W borach — rzekł przyciszonym głó-

sem—o jakie pięć a najdalej sześć mil od Łowicza zatrzymał się ze swoim wojskiem Stefan Czarniecki, aby po zwycięskiej bitwie pod Warką zbliżyć się do Warszawy i spróbować, czy nie uda się z niej Szwedów przepędzić... Zbierzcie się cichaczem, uzbrojcie w widły, cepy i kosy, jeśli inną broń Szwed wam podobiał, poślijcie kilku zuchów do Czarnieckiego, aby mu powiedzieli, co za klęskę dla całego kraju i tutejszej okolicy Izrael gotuje, sami zaś w tajemnicy idźcie pilnie w ślad za uprowadzającym owe dwa tysiące wozów z łupami wrogiem i ślijcie gońca za gońcem do tego najlepszego z synów Polski Stefana Czarnieckiego, aby pośpieszał z pomocą. Niech jeno wysłańcy będą dzielni i pewni, a zobaczycie, że tak szybko jak sokoły na zdobycz, spadną rycerze zwycięzcy z pod Warki na Szwedów i łupy odbiją...

— Patrzyłem ja własnymi oczami, jak wśród puszczy i bagnisk w okolicach Sandomierza i Częstochowy Czarniecki odbierał łupy, uwalniał grody i świątynie ze szponów szwedzkich... Posłuchajcie jeno mojej rady — mówił starzec, a późółkłe lica jego nagle rozjaśniły się i oczy z łez obeschły.—Powiadam, posłuchajcie mnie!.. Nasamprzód wybierzcie kilku zuchów, ale młodych chłopców, którzy dobrze konno jeżdżą, niech co żywo popędzą w lasy

nad Pilicą leżące i między Czerskiem a Warką obozowiska wojska Czarnieckiego szukają. Napewno je odnajdą... Wielki ten wojownik zbliża się bowiem, jak to już rzekłem, w okolice Warszawy i tępi napotkane a plądrujące po wsiach i miasteczkach oddziały szwedzkie... Jeno czy macie w pobliżu kilku, a nawet dwóch wystarczyłoby dzielnych chłopców, którzy lotem ptaków mogliby uwiadomić wielkiego wodza naszego, co zamierza wywozić z Polski pułkownik Izrael?..

Jeszcze nie zdążyli odpowiedzieć na pytanie starca pan Wojciech Różyczka i pan Kacper Miotelka, spojrzeli jeno po sobie, jakby radząc się jeden drugiego, gdy naraz z okrutnym hukiem przewróciła się wielka szafa, stojąca w ciemnym kącie izby, a przeznaczona podczas jarmarków i odpustów na towary i gąsiory z miodem, obecnie zaś prawie pusta.

Jednocześnie z hukiem rozległy się pełne podziwu okrzyki wszystkich obecnych w gospodzie, gdyż z przewróconej szafy wyskoczyli zaczerwienieni i zakurzeni dwaj dorodni chłopcy, w wieku lat co najwyżej czternastu lub piętnastu...

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał pan Kacper — a toć to te nicponie.. Michałko i Paweł..

Porwał się zaperzony i pan Wojciech Różyczka:

— Jak mi Bóg miły!.. toć to ten ladaco mój Pawełek!.. Ha! czekaj-no!.. dam ja ci!.. niech jeno do domu wróć!..

— Coście wy tu robili?.. W jaki sposób do szafy trafiliście i w niej się zamknęli?..

— Podśluchiwać chcieli, nad czem radzić i o czem mówić będziemy—rzekł zwolna milczący dotychczas i zwykle małowówny pan Mateusz Zwada.

— Dam ja ci podśluchiwanie! — wykrzyknął groźnie pan Miotelka, zwracając się w stronę ładnego jasnowłosego chłopca, który nagle upadł na kolana i złożywszy błagalnie ręce, zawołał:

— Nie karzcie nas, ojczel!..

— Nie karzcie! — przywodził mu drugi winowajca, chłopiec o ślicznych czarnych oczach i czarnej jak skrzydło kruka czuprynie...

Ale obaj ojcowie srożyli się i ani myśleli o przebaczeniu.

— Ja zaraz wiedziałem—mówił pan Miotelka — że coś niedobrego się święci z moim nieponiem Michałkiem, bo nigdzie się nie kręcił, ani w alkierzu, ani w kuchni, ani na podwórzu...

— I ja to samo o moim ladaco Pawelku

myślałem — rzekł pan Wojciech Różyczka — bo ani go okiem ujrzyć było od samego rana... Czekaj!.. nie tylko za podsłuchiwanie w szafie, ale i za wczorajsze zadzieranie z pijanymi Szwedami, za odebranie im broni odpowiadać będziesz... Ani chybi!.. do karceru w lamusie zasadzę jegomości ladaco i to posadzę na cały tydzień...

Obaj chłopcy poważne mieli miny, obaj klęczeli i do ojców wyciągali ręce z błagalnymi słowy:

— Wybaczcie!.. Pobłogosławcie!.. Tak trzeba było!.. Teraz już Szwed okrutnik nie pozostanie bez kary!.. Teraz mu pan Czarnecki nie pozwoli uciec ze skradzionymi świętościami, relikwiami i skarbami... Przebaczcie!.. tak być musi!..

I nagle obaj chłopcy, jak na komendę, zerwali się na równe nogi i pędem strzały wybiegli na podwórze, w stronę stajni!

— Nie schowacie się!..—wołał pan Kacper.

— Znajdziemy was!.. znajdziemy!—krzyknął w ślad za młodymi zbiegami pan Wojciech.

— Skaranie Boże z tymi chłopakami—zaczął znowu pan Kacper, ale umilkł nagle, bo za drzwiami, w sieni, rozległy się czyjeś ciężkie kroki i brzęczenie ostróg.

Wszyscy z zadziwieniem zwrócili się w tę

stronę i gdy drzwi z hałasem szeroko się rozwarły, pchnięte czyjąś silną ręką, ujrzeni w nich na progu izby, kilku Szwedów, uzbrojonych od stóp do głów, pomiędzy nimi zaś jednego nadmiernie opasłego, o grubym karku i wyłupiastych jak u wołu ślepiach, drugiego zaś nadmiernie chudego i jak tyka od chmielu wysokiego.

Zadrżał pomimowolnie pan Wojciech, ciarki przeszły po skórze pana Kacpra.

Poznali oni, że ów Szwed tłusty i ów chudy jego towarzysz, to ni mniej ni więcej, jeno są ci sami, którym wczoraj, gdy się upili i leżeli na drodze, Michałko i Pawełek broń odebrali i samych w rów zepchnęli.

— Skaranie Boże! — mruknął pan Wojciech — może być nieszczęście...

Pan Kacper wysunął się na środek izby i jako właściciel gospody „Pod złotą rybą” jął zapraszać przybyłych, aby zechcieli usiąść i powiedzieć, czem im może służyć...

— Może piwa?... jest świeże... A może miodu?... mam świeży!..

Słowa mu jakoś w gardle grzęzły, bo żołdacy szwedzcy nie myśleli jakoś o jedzeniu i pić.

Stali groźni po środku izby i z podełba spoglądali na zebranych i pomieszanych obywateli łowickich.

Wtem tętent galopujących koni zwrócił ich uwagę w inną stronę.

Spojrzeni w okno, ale nie mogli zobaczyć, bo tętent rozległ się tuż za stajniami, które bokiem stały do okien gospody.

Za to pan Kacper, który rzucił oczami na zewnątrz przez niedomknięte drzwi od izby, ujrzał najwyraźniej, jak na siwym i bułanym, wybornych jego koniach, w stronę Czerska co jeno sił pędzili Michałko i Pawełek...

Nawet to dostrzegł pan Kacper, że u boków jeźdźców zwieszały się szpady..., prawdziwe szwedzkie szpady...

Nie chciał oczom własnym wierzyć pan Kacper, prawie że zdrętwiał...

Zrozumiał, co się stało i pobladł: chłopcy lotem ptaków pędzili na wypoczętych koniach dać znać panu Czarnieckiemu o Szwedach i o zamiarach pułkownika Izraela.

Podsłuchali rozmowę.

Nie mogli dłużej wytrzymać, gdy usłyszeli, że pan Czarniecki ze swoimi husarzami znajduje się zaledwie o kilka mil od Łowicza, ażeby nie poruszyć się w szafie, nie wyskoczyć z niej, co właśnie spowodowało, że runęła na ziemię.

Jedna gorąca, niepowstrzymana myśl ożywiła obu chłopców — zawiadomić pana Czarnieckiego o wszystkim, co się dzieje w Łowi-

czu. Z pewnością przeszkodzi on Szwedom w wywiezieniu z Polski zrabowanych skarbów.

Ta myśl jak błyskawica przebiegła chłopcom przez głowę i sprawiła, że jak szaleni wybiegli z izby i rzucili się do stajni, wskoczyli na konie i co sił popędzili w stronę puszczy, ciągnących się nad Pilicą.

Pan Kacper Miotelka bezradnie opuścił głowę i nie wiedział, co robić.

Chciałby był krzyczeć i wołać, aby chłopców z drogi zawrócić, chciał pobiedz za nimi, ale na widok żołdaków szwedzkich, którzy groźnie nań spoglądali, zmuszony był do milczenia i nie zdradzania się z tem, co się stało i dokąd chłopcy z domu na wypoczętych koniach popędzili.

Szwedzi, wciąż groźnie spoglądając po obecnych, zaczęli się pomiędzy sobą naradzać, poczem wystąpił naprzód jeden z pomiędzy nich, który nauczył się mówić po polsku, przebywając przez czas dłuższy w Gdańsku.

Szweda tego pułkownik Izrael zawsze używał do szczególnych swoich zleceń, zwłaszcza, gdy chodziło o doraźne śledztwo i ukaranie kogoś, kto nie dość szybko i pokornie spełniał żądania i polecenia rządu jego królewskiej mości Karola Gustawa.

Był to krępy, szeroki w plecach chłop, w hełmie stalowym, jak duży garnek na gło-

wę nałożonym, z pod którego prawie twarzy i oczu widać nie było, jeno nos duży, czerwono-fioletowy wystawał i wąsy rude z kozią brodą sterczały.

— Kacper Miotelka—rzekł groźnie Szwed — dopuścił się wczoraj zbrodni, za którą nie tylko sam poniesie surową karę, ale zarazem wskazać musi współników, którzy pomagali mu w zuchwałym napadzie na żołnierzy naszych, obecnych tu w osobach walecznego Arnulfa i niemniej dzielnego Rudolfa... Podstępnie o zmroku napadliście na tych żołnierzy i będąc w przemożnej sile, zabrali im broń, bez której nie mogą stanąć przed swoim dowódcą... Żądam więc w imieniu króla Karola Gustawa, abyście natychmiast broń tę zwrócili i tych, którzy ją zabrali i u siebie przechowywali, w nasze ręce wydali... Sąd królewski rozstrzygnie, gdzie i kiedy rozstrzelani lub powieszeni będą, bo każdy występek i każda zbrodnia może być łagodniej ukarana, ale nie ta, gdy kto zuchwale podnosi rękę przeciwko armii jego królewskiej mości. Ten musi dla przykładu i przestrogi dla innych zuchwalców, najsurowszą ponieść karę, to jest karę śmierci...

Szwed mówił zwolna głosem ponurym, przytupując co chwila nogą i uderzając groźnie ręką w głownię swej długiej jak rozeń szpady.

Zebrani w gospodzie obywatele łowiccy słuchali w odrętwieniu i przerażeniu tej przemowy i groźnego wyroku na przestępców.

Milczeli, nie wiedząc co i jak odpowiedzieć, wreszcie pan Kacper Miotelka, którego ciężką swą łapą uderzył Szwed o rudyh wąsiskach i koziej brodzie silnie po ramieniu, odrzekł:

— O żadnych przestępcach nie wiemy... żadnej broni nie zabieraliśmy i nie przechowujemy...

— Kłamstwo! — huknął, wysuwając się naprzód długi jak tyka od chmielu Rudolf — znam tych, którzy na nas napadli i broń nam podstępnie odebrali..

— I ja ich znam! — krzyknął opasły Arnulf. — Są tutaj!.. w tem gnieździe buntu!..

— Gdzie wasz syn? — zapytał groźnie długi Rudolf — ten niepoń pierwszy na czele całej bandy buntowników napadł na mnie... Bronilem się jak lew, ale cóż może jedna choćby najdzielniejsza owca, gdy ją napadnie całe stado wilków?..

— Ładna owca! — mruknął czerwony z gniewu pan Wojciech Różyczka — prędzej chudy baran... i to pijany...

Zamilkł jednak zaraz, bo do niego zbliżył się opasły Arnulf i za rękę go pochwycił, wołając:

— Tego syn jest jeszcze gorszy buntownik, niż jego ojciec, co zamiast słuchać pokornie, o czym się tu mówi i czego się żąda, mruczy jak niedźwiedź i łeb spuszcza do ziemi...

Dobrze, że opasły Szwed mówił to w swym rodowitym języku, więc dla pana Różyczki niezrozumiałym, gdyż w przeciwnym razie krewki i skory do gniewu starzec, nie darowałby mu słów lekceważących i wnet doszło by do bójki.

Ale i tak cała ta sprawa nie zapowiadała nic dobrego.

Pan Miotelka, nie wiedząc co i jak odpowiadać, chciał częstować Szwedów piwem i miodem, ale krępy przywódca ich zawołał groźnie:

— Miód i poczęstunek na później zostaw... Teraz odpowiadaj... gdzie twój syn i syn tego niedźwiedzia?..

Mówiąc to, Szwed ręką wskazał na pana Różyczkę.

Porwał się gniewnie starzec z ławy, pięści zacisnął.

— Milcz, plucho! — zawołał — siwe mam włosy na głowie... co mi ubliżasz?..

— Bunt! — wrzasnął Szwed. — Bierzcie go na ratusz!..

Przyskoczyli Szwedzi do pana Różyczki,

ujęli za ręce, skrępowali je z tyłu mocnym rzemieniem, łańcuszkiem żelaznym nogi boleśnie przewiązali i obalili starca na ziemię.

— A teraz tego!—rozkazał Szwed z rudą kozią brodą, wskazując na pana Miotelkę.

Nie zdążył pan Kacper krzyknąć, że niewinnym jest w całej tej sprawie, a już go żołdacy szwedzcy powalili na ziemię, skrępowali, przyczem otyły, gruby Arnulf kopnął go nogą i obsypał obelgami...

— Ty psie polskil.. ty zbój! — wołał — chciałeś mnie czci żołnierskiej pozbawić?.. broń mi zabrać?.. Mnie, o którym sam wielki jenerał Burhard Müller mówi: „Póki Arnulf miecz ma u boku, dopóty król szwedzki bezpiecznie spać może w swym namiocie... Słyszysz, co świat o mnie mówi?..“

Nic nie odpowiedział pan Miotelka, bo nie rozumiał dobrze po szwedzku, wołał jeno po polsku:

— Na Boga, co robicie panowie Szwedzi?!.. Cóż to?.. rozbój?.. Co zawiniłem?..

Szwedzi nie zważali wcale na te krzyki pana Miotelki, jeno jak stado brytanów obskoczyli z kolei i zwięzali pana Mateusza, pana Jacka i nakoniec starca, który bez oporu podał im swe wychudłe ręce, aby je skrępowali.

Nie wiadomo dla czego ta uległość star-

ca, rozdrażniła żołdaka szwedzkiego, który go widocznie wziął za zwykłego nędzarza, bo nagle uderzył dwa razy nieszczęsnego w twarz i to tak silnie, że starzec padł omdlały na ziemię...

— Zbójco! co czynisz?.. A bodajżeś padł ogniem niebieskim porażony! — zawołał pan Wojciech Różyczka, nie mogąc pohamować się w gniewie. Czego się pastwisz nad tym bezbronnym starcem?..

Szwed z kolei zaczął się znęcać nad panem Różyczką, kopiąc go nogami i zionąc na niego i całą Polskę przekleństwami.

Widzi pan Miotelka, że źle się to bardzo skończyć może, widzi omdlałego starca, więc rzecze:

— Miejcie litość nad bezbronnymi... nad niewinnymi!.. Nie katujcie!.. nie pastwcie się nad nami!..

— Ty nie o tem nam śpiewaj! — krzyknął Szwed przywódca—jeno gadaj, gdzie te gadziny, które bunt wszczęły?.. Gdzie twój syn?.. Gdzie syn tego starego niedźwiedzia, którego Różyczką nazywacie?..

— Nie wiem! — odrzekł pan Kacper. — Syn mój zaledwie czternasty rok skończył... Co taki dzieciuch przeciwko wam, rycerzom, zrobić może?.. Nie udręczajcie nas!.. Żadnego buntu nie było!..

Nie słuchał już Szwed pana Miotelki, bo towarzysze jego dali mu znać, że dwaj chłopcy przed kwadransem wyrwali się na koniach z zagrody pana Miotelki i popędzili jak szaleni w stronę lasów czerskich...

Wysłano za nimi pogoń.

— Zdrada!.. zdrada! — wrzeszczał Szwed przywódca.—Do więzienia starych, a młodych, gdy ich pogoń pochwyci, na szubienicę!..

Poczem wydał rozkaz, aby cały dom splondrowano. Rzucili się żołnierze szwedzcy rade, że do rabunku okazała się znalazła i wszystkie kąty splondrowali.

W godzinę później gospoda „Pod złotą rybą“ przedstawiała ruinę, zaś jej właściciel wraz z innymi obywatelami łowickimi o bunt przeciw Szwedom posądzonymi, został zamknięty w loszku przy ratuszu.

Podobny los spotkał i omdlałego starca, którego nawpół żywego Szwedzi do ciemnicy wrzucili.

ROZDZIAŁ II.

Za pędzącymi co koń wyskoczy Michałkiem i Pawełkiem puścili się w pogoń, dosiadłszy koni, dużych, w biegu wytrzymałych, otyły Arnulf i chudy a wysoki jak tyka Rudolf.

Zawzięci Szwedzi byli na chłopców, pragnęli ich ująć, aby zemścić się za ośmieszenie w obec towarzyszy, za broń, którą im odebrali; szczególnie rudy Rudolf srożył się i piecił z gniewu, pistolet bowiem, zabrany mu przez Pawelka, był jego ulubioną bronią.

Otrzymał go w nagrodę od pułkownika Izraela, gdy zajęto zamek arcybiskupi w Łowiczu i stara zbrojownia stała się pastwą chciwości Szwedów.

Tajemne drzwi, prowadzące do jej podziemi, pierwszy właśnie znalazł Rudolf i przy pomocy kilku towarzyszy wyważył za pomocą ciężkich, żelaznych drągów.

Wiele przepięknych, kosztownych zbroi, złotem ozdobnych, stalowych szyszaków i pancerzy z ryngrafami, osypanemi drogiemi kamieniami dostało się wtedy w drapieżne ręce pułkownika Izraela, którego chciwość znaną była powszechnie.

Część tej broni posłał on w upominku królowi Karolowi Gustawowi, resztę zachował dla siebie, aby sprzedać w Prusach.

I tłuszcioch Arnulf również pałał chęcią odebrania swego pistoletu, który pochodził ze zbrojowni zamku Olsztyńskiego.

Pono był ten pistolet niegdyś własnością czczonego w całej Polsce bohatera — Kacpra Karlińskiego, który wolał śmierć syna oglądać, niż poddać Olsztyn Niemcom.

Ale nie z tego względu pistolet ten cennym był dla Arnulfa, jeno, że miała broń ta w głównej drogie kamyki, przez żydowskich znawców oceniane na kilkadziesiąt dukatów.

Szwed więc marzył, że broń tę sprzeda przy pierwszej lepszej okazji.

Popędzali więc swoje duże wierzchowce obaj ścigający Michałka i Pawełka Szwedzi, a mając lepsze konie, niż uciekający chłopcy, spodziewali się niebawem ująć obu w swoje ręce, broń im odebrać, ręce skrepować i w tryumfie, jako jeńców i niebezpiecznych

buntowników, do obozu szwedzkiego, przed srogiego pułkownika Izraela zaprowadzić.

Przynaglali więc głosem i ostrogami swoje konie do biegu.

Przestrzeń, dzielącą Szwedów od chłopców, stawała się z każdą chwilą coraz mniejszą.

— Masz rzemienie do skrepowania tych młodych rozbójników? — pytał, sapiąc otyły Arnulf.

— Mam!.. Gdy pochwycimy buntowników w swoje ręce, rozbiorimy ich, przywiążemy do koni i jak psy na smyczach, przeprowadzimy przy naszych koniach do Łowicza...

— Tam najpierw srogą sprawimy im chłostę, a następnie oddamy pod sąd pułkownika...

— Co to chłostę!?! tylko chłostę za takie zuchwalstwo?.. za podniesienie ręki na armię króla szwedzkiego?.. Pasy bym z nich darł.. Żywcem ze skóry obdzierał.. a później na szubienicy obwiesił! — srożył się Arnulf. — I tak ich to czeka!.. Dla przykładu!..

Michałek i Pawełek co chwila oglądali się na Szwedów.

Gniew wzbierał w ich piersiach.

Radzi byliby zatrzymać konie, zwrócić się do swych prześladowców i bój z nimi stoczyć na śmierć i życie.

Nawet porywczy Michałek już—już chciał konia zawrócić i Szwedom w oczy zajrzeć, nierówny bój z nimi stoczyć, ale powstrzymał go ostrożniejszy Pawełek:

— Czyś oszalał?.. Co chcesz zrobić, mój drogi Michałku?.. Zapomniałeś, że obowiązkiem naszym zawiadomić pana Czarnieckiego o zbrodni, o złodziejstwie Szwedów, którzy skarby niezmierne wywożą z Łowicza?.. O tem myśl!.. To nasz cell!..

— Ale bo widzisz, mój Pawełku, okrutnie mnie ręka świerbi!.. Tego grubego Szwe-
da, zarazbym z konia ściągnął i do rowu wrzucił!.. Niechby się w błocie ten przekłuty plu-
cha pokapał!..

— Do pana Czarnieckiego nam spieszyć... Z nim Szwedów przetrzepiemy... Nie zapominaj o tem!..

— Dobrze radzisz!.. Dajmy pokój tym opojom szwedzkim... Niech sobie za nami pędzą, choćby na złamanie karku!..

— A niech pędzą!—rzekł Michałek, przynaglając swego konia do szybszego biegu.

I pędzili dalej...

Puszcza niebawem ogarnęła ich swemi ciemnymi skrzydłami.

Droga piaszczysta stawiała się z każdą chwilą tak dla uciekających, jak i dla ściganych coraz uciążliwszą.

— Pawełku!—zawołał Michałek. — Szwedziska mogą pomyśleć o nas, że przed nimi uciekamy!..

— Wstydz się!—odrzekł Pawełek. — Wiesz już, o co nam chodzić powinno...

— Aby jaknajprędzej dostać się do obozu pana Czarnieckiego...

— Tak!.. O tem tylko myśleć mamy... Niech się co chce dzieje!.. Niech Szwedzi co chcą myślą sobie o nas!..

I przynaglali konie do coraz szybszego biegu. Pomimo to jednak Szwedzi z każdą chwilą coraz to bliżej byli od nich...

Zaniepokoił się Michałek.

Porywczego będąc usposobienia, zniecierpliwił się i krzyknął:

— Pawełku!.. Szwedom trzeba dać odprawę... W przeciwnym razie dogonią nas i bić się z nimi musimy... Lepiej więc, ażebyśmy pierwsi na nich natarli...

Odrzekł na to rozważniejszy Pawełek:

— Dobrze masz chęci, ale źle radzisz... Pędź ty do pana Czarnieckiego, a ja Szwedów zatrzymam... Zobaczysz, że rady mi nie dadzą...

— Nie podoba mi się to, co mówisz... Zawsze, co dwóch, to nie jeden... A z dwoma będziesz miał do czynienia... Łatwo cię

mogą z konia ściągnąć, a nawet mieczami zażgać...

— Albo ja to nie mam tego różna, który temu opasłemu Szwedowi zabrałem?.. On mieczem, ja tym różnem... Nim on się raz obróci, ja dziesięć... A będzie godził na moje życie, to go tak poczęstuję, że nawet o drodze do Szwecyi zapomni...

Rozśmiali się i pędzili dalej co koń wyskoczy, ale Szwedzi już blisko byli.

Konie mieli lepsze, wytrzymalsze. Jeszcze chwila, a będą tuż—tuż przy chłopcach.

— Halt!.. halt!..—krzyczał Rudolf, który przez czas dłuższy służył w Niemczech i zapomniał tam prawie języka ojczystego.

— Halt! — powtórzył raz jeszcze, ale chłopcy nie słuchali go.

Przynaglali konie, które rzuciły się naprzód i z wiatrem w zawody pędziły jak na skrzydłach.

Szwedzi pozostali o kilka staj po za nimi.

Zaczęli oni kłać na chłopców i wzywać ich, aby się zatrzymali, grożąc w razie przeciwnym, że ich zabiją...

Otyły Szwed krzyczał przytem okrutnie, jakby tym krzykiem chciał zrzucić z koni Michałka i Pawełka.

— A bodajżeś pękł!..—zawołał ten ostat-

ni.—Wszystkie zające z puszczy wypłoszysz swoim rykiem...

Z pół godziny jeszcze tak lecieli przez puszcę, aż nagle koń Michałka zaczął zwalniać biegu.

Zakrakali jak kruki obaj Szwedzi, a Rudolf znowu zaczął wołać:

— Halt!.. halt!..

Koń jego prawie że dogonił już konia, na którym siedział Michałek, a Szwed wy dobył z pochwy błyszczący miecz i wzniosł go w górę, chcąc nim ugodzić chłopca.

Odsadził się jeszcze chłopak o kilkanaście kroków, przez co uniknął ciosu i zawołał:

— Pawełku!.. Bóg widzi, że inaczej nie możemy zrobić!.. Ja zawrócę i rozpocznę ze Szwedami walkę, a ty skorzystaj z tego, zbocz w puszcę i między drzewami i jałowcami przedostań się do jakiej ścieżyny, a następnie do wygodniejszej drogi... Może natrafisz na rycerzy pana Czarnieckiego... Muszą być w okolicach Pilicy lub Czerska... Słyszałeś, co mówił ów czcigodny starzec...

— Dobrze!.. Ale czy ty dasz sobie radę z tymi przekłętymi Szwedami?.. Mogą cię zabić!..

— Nie troszcz się o to!.. Myśl jeno, aże-

byś do pana Czarnieckiego jak najprędzej się dostał... Słyszysz?..

— Cóż nie mam słyszeć!.. Zal mi cię jeno bardzo tak na pewną zgubę zostawić...

— Dla czego na zgubę?... Bić się będziemy!.. Mogę ja ich pobić... Cóż to?... ja jestem z gliny, a oni z żelaza?..

Obrócił głowę Pawełek i spostrzegł, że Szwedzi pozostali nieco w tyle.

Przyczyną tego było, że chudy jak tyczka od chmielu Rudolf odwiązywał przyczepiony do siodła długi rzemień i rozwijał go jak hycel stryczek.

Był on mistrzem w zarzucaniu pętlic na szyje koni i ludzi, gdy po bitwie w popłochu uciekali, ratując życie.

A nieraz i podczas bitwy, gdy chwilę po temu znalazł, chwycił w swą rzemienną pętlę upatrzoną ofiarę i ściągał z konia, biorąc do niewoli.

Teraz, gdy chłopcy prawie że o kilkanaście kroków byli od niego odlegli, przyszło mu na myśl, że najlepiej będzie pochwycić ich na pętlę.

— Najpierw tego... z czarną czupryną, a później tego z jasnemi włosami!..—mruczał, klnąc siarczyście.

Chłopcy ani się spodziewali, co ich czekało.

Pawełek tylko spostrzegł, że Szwed rzemień jakiś zaczyna rozplątywać, ale nie domyślił się w jakim celu.

Sądził, że chce zawczasu przygotować go sobie, aby móżd jaknajprędzej skrępować nim spodziewanych jeńców.

— Podły i głupi Szwedzie!.. — zawołał— już więzy gotujesz, a nie wiesz, czy ci się damy nimi skrępować...

Odsadzili się znowu. spory kawałek drogi, co widząc Szwedzi, krzykiem i ostrogami przynaglali konie do szybkiego pędu i z zaciekłością gotowali się do ostatecznej rozprawy z młodymi wrogami.

Spłoszona zwierzyna i ptactwo leśne pośpiesznie kryło się w głąb puszczy; tumany kurzu wzbijały się w powietrze, gdyż droga stawiała się coraz bardziej piaszczystą.

Rudolf rozwinął swoją pętlę. Już ją miał zarzucić na głowę Pawełka, gdy stała się rzecz dziwna i niespodziewana.

Chłopcy niewiele myśląc, skęcili w głąb puszczy przez niewielką polankę, która zieleńiła się z boku drogi.

Na tej polance postanowili ostatecznie rozprawić się ze Szwedami.

Ale zaledwie wjechali na tę polankę, wraz z końmi zapadli się pośrodku niej, jakby ich ziemia pochłonięła.

Krzyknęli Szwedzi, chcieli nagle powstrzymać swe rozpędzone konie, ale zapóźno już było.

Zniknęły i one wkrótce wraz z jeźdźcami.

ROZDZIAŁ III.

Gdy to się stało, wśród boru rozległo się raz i drugi głośnie pianie koguta. Odpowiedział mu w oddali silny świst jakiegoś leśnego ptaka, który echo trzykrotnie powtórzyło, poczem zadudniała ziemia i na skraju polanki ukazało się kilku, na dzielnych koniach, rycerzy polskich, w zbrojach błyszczących w promieniach wiosennego słońca, w burkach zarzuconych na ramiona.

Jeden z nich wysunął się naprzód i z wolna zbliżał do środka polanki, gdzie czernił się teraz szeroki i długi otwór jamy, tu i owdzie osłoniiony gałęzmi jałowca i leszczyny.

— Ho! ho! — zawołał rycerz, zwracając się do swych towarzyszy, nie nadaremnie zapiął nasz kogutek... Wśród białego dnia do naszego obozowiska podfrunęły jakieś ptaszki i wpadły w pułapkę... Ale gdzież nasz kogutek?... Toć odpowiedzieliśmy mu głośnym świ-

stem... A może nie dosłyszał?... Panie Józe-
fiel zabaw się w kosa raz jeszcze!..

Jeden z rycerzy podniósł rękę do ust
i przedziwnie naśladując głos kosa, zaświstał.

Odezwał się znowu kogutek, ale już bli-
sko polany.

— No! teraz już wie o nas...

Z przeciwnej strony na polankę wjechał
na małym, bułanym koniu Tatar, w barani ko-
zuch, pomimo wiosennego ciepła odziany.

Podjechał do rycerzy, kłaniał im się nisko
i zwróciwszy się do tego, który był na ich czele,
rzekł łamanym językiem:

— Aż czterech... Wszyscy na koniach...
Wpadli do jamy... Są tam!.. Zdaje się, że
Szwedzi... Spostrzegłem ich na drodze od Ło-
wicza... Pędzili jak szaleni, wprost do nasze-
go obowiska...

— Dawno ich spostrzegł?..

— W tem czasie, kiedym po raz pierwszy
dał hasło... O! słysząc, jak się tam drą w nie-
bogłosy... Nie podoba im się pułapka... Wo-
łają, ażeby ich z niej wyciągnąć...

Z jamy rzeczywiście wydobywały się gło-
sne przekleństwa Szwedów i wołania o pomoc
obu chłopców...

— Już to nasz Tatar wcale niezły miał
pomysł, że dokoła obozowiska ciurom kazał
takie grzeczne pułapki w ziemi pourządzać...

Tatar, rad z pochwały, skośne oczy
uśmiechem zwrócił na rycerza, który ją wy-
głosił, i podjechawszy do jamy, zsiadł z konia,
poczem ostrożnie zbliżył się do ciemnego
otworu.

Podjechało tam za nim i kilku rycerzy.

— A zwolna, wasze miłości! — ostrzegał
Tatar — bo wilcze doły ciągną się przez całą
polankę.

— No! no!.. nie bój się, kochany Kogut-
ku!.. Jenó wydobądź tych ludzi, co tam wpa-
dli, bo wrzeszczą aż uszy puchną...

— Na miły Bóg! — zawołał rycerz, który
widać był dowódcą, bo i zbroję miał od in-
nych piękniejszą i towarzysze spoglądali nań
z szacunkiem.

— Panie rotmistrzu! — zawołał jeden z ry-
cerzy, który za przykładem Tatara zsiadł z ko-
nia i zajrzał do jamy — a toć to boki zrywać
ze śmiechu!..

Niech jeno pan rotmistrz zbliży się i wła-
snemi oczami to zobaczy, na co my z naszym
Kogutkiem patrzymy...

Jakom żyw, czegoś podobnego jeszcze
w życiu swoim nie widział i pewnie, że wi-
dzieć już nie będzie!.. Dwóch chłopaków, jako
kociaki, wskoczyło na karki dwóch starych
Szwedów i trzyma ich w barłogu, niby w ko-
pie siana...

— A konie?

— Wpadły w kupę zwalonej ściółki leśnej i stoją w niej, jakby przy żłobie w stajni...

— Ściółki zwaliliśmy umyślnie tak dużo, ażeby ani zwierz, ani człowiek nóg, wpadłszy do jamy, nie mógł połamać... Człowiek przyda się, jako jeniec, a koń zda nam się pod wierzch—mówił Tatarzyn, zwany przez rycerzy Kogutkiem.

Zajrzał rotmistrz do jamy i za boki się ujął, ręką sumiastego wąsa pogładził.

— Jak jestem ostatni z rodu Sierawskich — zawołał — tak to całkiem niezwykle widowisko!.. Ale też te Szwedziska wrzeszczą, jakby ich nie dzieciuchy, jeno cała rota żołnierzy za uszy trzymała!..

— Wyłażcie-no stamtąd! — zawołał głosem donośnym, do rozkazywania przywykłym... A niech jeno któremukolwiek do głowy nie przyjdzie zbrojnie wystąpić, bo zaraz kulą w łeb dostanie... No, dalej na polankę... Kogutek, wskaż im drogę!..

Tatar wskoczył z jednego boku do jamy, zręcznie odsunął kilka pni drzewnych, zeszedł zeszłorocznem igliwem leśnem z liśćmi przywalonych i zawołał na chłopców:

— Puście tych smoków, których za uszy trzymacie, niech przestaną wrzeszczeć jak opętani i pójďte tu do nas na polankę...

A rotmistrz dodał:

— Widzę, żeście Polacy, nie obawiajcie się niczego, boście na rycerzy z hufców pana Czarnieckiego natrafili...

Michalek i Pawełek, słysząc głos rotmistrza i widząc rycerstwo polskie, zręcznie jak wiewiórki, wydostali się z jamy przez wskazane im z niej wyjście.

Od stóp do głów oblepieni byli liśćmi i barłogiem.

— Wybaczcie, mości panie rotmistrzu! — rzekł śmiało Michalek — nie tak pragnęliśmy się przedstawić rycerzom, sławnym w całej Polsce, którzy mają szczęście walczyć pod dowództwem jednego z największych wodzów na świecie...

— O!.. o!.. mój ty kawalerze, po dworsku umiesz mi się wyrażać!.. A młodyś!.. A i strój twój nie świadczy, abyś z magnackiego pochodził domu...

— Jam synem mieszczanina z Łowicza... Uczyłem się u Ojców Bernardynów w klasztorze... I mój towarzysz Pawełek również jest rodem z Łowicza i również uczył się u Ojców Bernardynów...

Rotmistrz musnął znowu sumiastego wąsa, popatrzył na chłopców i zapytał:

— A powiedzcie-no mi, czego to od was chcieli tamci?..

Tu wskazał na otyłego Arnulfa i długiego Rudolfa, którzy już wydostali się z jamy na polankę, ale wyglądali jak nieboskie stworzenia, uwalani błotem i obłożeni barłogiem.

— Szwedy to są—odrzekł Pawełek—gonili nas od samego Łowicza.. Nic, jeno koniecznie chcieli dostać nas w swoje łapy...

— Ale Pan Bóg ustrzegł... — dokończył Michałek.

Rotmistrz z kolei zwrócił się do Szwedów, wybadał ich i zapytał, kto nad nimi miał komendę. Gdy usłyszał, że pułkownik Izrael, groźnie brwi nasrożył, mówiąc:

— Bez serca to zdzierca i łupieżca.. Niewart, że go święta ziemia nosi... Jeśliście wy z pod takiej komendy, to z pewnością nie lepsi jesteście od niego... Mości panowie! — rozkazał, zwracając się do swoich rycerzy — Szwedów tych przed oblicze pana Czarnieckiego zaprowadzić trzeba... Są oni z bandy rabusia Izraela, kuma samej jego królewskiej mości Karola Gustawa, który ze Szwecyi dalekiej na pasku zdrajców ojczyzny naszej prowadzony, przyszedł aż na nasze wielkopolskie i mazowieckie niziny, a nawet aż na Litwę chciwe łupu hufce swoje zapędził... Łatwą miał sprawę, bo zdrajcom nikiemnym królewskie i książęce korony poprzyrzekał.

Hieronim Radziejowski miał w Berdycz-

wie zasiąść na tronie, który mu tamtejsi Żydzi już u swoich rzemieślników obstalowali, a Radziwiłł litewski w Wilnie... Ha! zdrajcy... Wieczna ich hańba czeka!..

Uniósł się gniewem rotmistrz, zdawało się, że iskry posypały mu się z oczu.

— Tych dwóch jeńców szwedzkich — zawołał, zwracając się do rycerzy — strzedz trzeba, jak oczu w głowie...

W jednej chwili skrępowano ręce Arnulfowi i Rudolfowi i to tym samym rzemieniem, którym niedawno grozili Michałkowi i Pawełkowi.

Szwedzi, widząc, że wszelki opór na nic się nie przyda, posłuszni, jak dwa barany poszli w niewolę.

Wkrótce Tatarzyn wyprowadził z jamy i konie, które tam wpadły wraz z jeźdźcami.

Michałek i Pawełek podskoczyli radośnie do swoich, zaś szwedzkie Tatarzyn w tryumfie poprowadził za uzdy.

— A cóż to, moi chłopcy, jak widzę, szwedzką broń macie przy sobie?—zapytał pan rotmistrz, z zadowoleniem spoglądając na chłopców.—Jakże się to stało?..

Wystąpił Michałek i w słowach zwiezłych opowiedział przygody ze Szwedami.

Słuchał uważnie pan rotmistrz Sieraw-

ski, a z oczu jego łatwo było poznać, że obaj chłopcy przypadli mu do serca.

— Panie rotmistrzu!—rzekł milczący dotychczas Pawełek — niech wielmożny pan nie pomyśli czasami, że myśmy z Michałkiem uciekali przed tymi Szwedami, jak dwa tchórze!.. Myśmy im śmiało chcieli stawić czoło, jeno że nam się bardzo śpieszyło do pana Czarnieckiego...

— Do pana Czarnieckiego?—zapytał rotmistrz—a w jakim że to celu?

— Ano żeby Szwedom nie dał wywieźć skarbów z Łowicza...

— A od kogo dowiedzieliście się, że pan Czarniecki w tych stronach przebywa?

Znowu wysunął się Michałek i opowiedział, że od pewnego czcigodnego starca w pielgrzymim odzieniu; że starzec ten mówił im o zwycięskiej bitwie pod Warką i radził jak najspieszniej zawiadomić pana Czarnieckiego o złodziejskich zamiarach pułkownika Izraela.

Pan rotmistrz Sierawski umilkł na chwilę i najwidoczniej wzruszony, przyglądał się chłopcom.

— Nie dorównacie wy latami rycerzom, którzy otaczają i walczą pod chorągwią pana Czarnieckiego, ale duchem i sercem blisko nich jesteście... To jeno obawa, że nie zdą-

życie na czas wczesny pana Czarnieckiego o zamiarach Szwedów, wywożących skarby z Łowicza, zawiadomić wstrzymała was od stoczenia z nimi walki?..

— Jako Bóg żyw jest na niebie!—przysięgał Michałek.

— Jako pragniemy, aby chciwy i okrutny pułkownik Izrael dostał się w polskie ręce, a skarby, które wywozi, pozostały w kraju!..—dodał Pawełek.

— Ano dzięki Najwyższemu są jeszcze w narodzie naszym świeże a wielce szlachetne siły, które po wieczne czasy nie dadzą mu zginać... Gdybym miał synów, chciałbym, ażeby tak jak wy, mój Michałku i Pawełku, myśleli i działali... Na miły Bóg, będę miał co opowiedzieć panu Czarnieckiemu...

— A gdzie jest pan Czarniecki? — zapytał ciekawie Pawełek.

Pokreślił wąża pan rotmistrz Sierawski i odrzekł:

— O tem, to można powiedzieć, że wszyscy i nikt nie wie... Wszyscy wiedzą, że tam on jest, gdzie ojczyzna tego potrzebuje, a nikt nie wie, gdzie i kiedy wrogowi na kark spadnie... Ja sam nie wiem, czy zastanę go w puszczy około Czerska, choć go tam nie tak dawno zostawiłem. Zdarza się nieraz, że kilka chorągwi zostawi w obozowisku, któ-

re po zwycięskiej bitwie każe rozłożyć, a sam, wzięwszy kilka innych, jakoby orzeł, poleci o pięć, dziesięć mil i tam najmniej tego spodziewającemu się nieprzyjacielowi gorącego sadła za skórę zaleje...

— A to może go i teraz nie znajdziemy?—zapytał Michałek ze smutkiem.

— Ano łąco to być może, bo jak rzekłem, niezwykle to jest człowiek, który zda się, że nie potrzebuje podczas wojny ani posiłku, ani spoczynku... Może już w tej chwili zamiast w obozie i w namiocie, siedzi Szwedom na karku i psubratów co cudze przyszli mienie rabować do niewoli zabiera...

— O, mój Boże!—zawołał Michałek—nie dajże, abyśmy pana Czarnieckiego w krótkim czasie nie mieli znaleźć!.. Bo zważcie je-no, wasza miłość, wielmożny panie rotmistrzu, że tu każda chwila czasu droga... Gdy Szwedziska w Łowiczu nie będą mogli doczekać się powrotu tych dwóch, którzy za nami w po-goń się rzucili, a teraz są jeńcami naszymi, to gotowi srogą zemstę na naszych ojcach wyrzucić... Mogą też bezpiecznie wywieźć skarby do Prus...

— Dobrze mówisz!—rzekł łaskawie pan Sierawski—nie można Szwedom na to pozwolić... A jak twój ojciec się nazywa?..

— Kacper Miotelka—odrzekł Michałek.

Pan Sierawski uderzył się dłonią w kolano, aż kary wierzchowiec na którym siedział, drgnął pod siodeł.

Było to znakiem, że pan rotmistrz na dźwięk nazwiska Michałkowego, jakąś nagłą myślą przejęty został.

— Miotelka—powtórzył—i z Łowicza ro-dem?.. Ha! szczególne zrządzenie Boże!..

A później raz jeszcze uderzył się dłonią w kolano, aż mu szabla u boku i stalowa ostroga u buta zabrzęczała i z żywością zapytał:

— A braci miałeś?

— Miałem dwóch Adama i Kazimierza, ale obaj pono polegli podczas bitwy z hordami Chmielnickiego...

— Polegli, powiadasz?.. I pewnie opłakaliście ich już, jako zmarłych?..

— Jużcić że tak—szepnął Michałek.

— Ano to przedwcześnie, bo obaj żyją!

Michało przyskoczył do pana Sierawskiego i z wielkiej radości pochwycił jego rękę i ucałował.

— Adam... Kazimierz... nie zabici... żyją—powtarzał raz po raz, a łzy radości zabłysły w jego oczach.

— Na to mogę ci dać moje słoworycerskie, że obydwóch pan Czarniecki nie dalej jak przed dwoma dniami wysłał w okolice Warszawy na czele kilkunastu ludzi, bo kto

wie, czy stolicy z rąk wrażeń nie odbierzemy wkrótce...

— Mój Boże!.. Jeśli żyją Adam i Kazimierz, to czemuż nie dawali o sobie żadnej wiadomości?..

— Bo pono ślubowali sobie, w srogiej będąc niewoli u Tatarów, że jeśli Bóg pozwoli im wolność odzyskać, to oni życie dla ojczyzny do końca swoich dni poświęcą... Ślubowali, że nie wrócą pod rodzinną strzechę, nie powitają bliskich sercu, ani nie pochyłą się do nóg rodzicielskich, dopóki choćby jeden nieprzyjaciel w kraju pozostawać będzie... Bóg pobłogosławił te ich zacne intencje... Wykupili ich z niewoli księża zakonnicy, którzy na początku wojny obecnej otrzymali znaczny fundusz od Tomasza Rawskiego, wielce możnego magnata, krewnego niecnego zdrajcy Radziejowskiego. Rawski, starzec już, w ten sposób chciał odpokutować i zetrzeć piętno wiecznej hańby z tarczy herbowej swej rodziny.

— Ten czcigodny starzec był właśnie w Łowiczu, w naszej gospodzie „Pod złotą rybą“ i on o panu Czarnieckim opowiadał. Teraz już może jest w pazurach oprawców szwedzkich! Ratować go jest świętym obowiązkiem każdego dobrego Polaka! — zawołał z rozpaczą Michałek.

Tu chłopak opowiedział wszystko, czego był świadkiem, ukryty będąc z Pawelkiem w izbie gospody.

— Nie mam synów—ze smutkiem rzekł znowu pan Sierawski, a chciałbym mieć takich, jak wy, dzielnych, o szczerem sercu i rozumnej głowie i krzepkiej ręce... A no stało się!.. Za ojczyznę dali życie w nieszczęsnej bitwie pod Żółtymi Wodami, gdzie zginął kwiat naszej młodzieży...

Pokręcił węża, rękę podniósł do oczu, jakby z nich łzę natrętną, dla wojaka niewłaściwą, chciał otrzyść i dodał:

— A i córeczki, jako kwiatuszki dwa wiosenne, miłe Bogu i ludziom, utraciłem podczas tej wojny... Dwór nasz nad Pilicą, wśród pól i łąk na wzgórzu stojący, napadli Szwedzi. Przerażona klucznica nasza chwyciła na rękę młodszą Anusię, zaś starszą, dziesięcioletnią Janinkę, za rękę i wyprowadziła je tajemnym korytarzykiem podziemnym do spichlerza, a stamtąd przez puszcę do leśniczówki, tuż nad rzeką położonej... Traf zrządził, że właśnie zaledwie wpadły do izby leśnika, spotkało moje dziecięcy to, czego się stara klucznica więcej niż śmierci obawiała. Oto zatrzymała się przed leśniczówką wspaniała kolasa, otoczona strażą szwedzką, a z kolasy wysiadła strojna, z cudzoziemska przybrana pani,

widać żona a może siostra któregoś z dostojników szwedzkich i aby odpocząć, a zarazem schronić się przed słotą, weszła do wnętrza leśniczówki. Zaraz wzrok jej padł na moje dziewczątka, na drogie sierotki, które matka wcześniej odumarała.

Zbliżyła się do dzieci i zaczęła pytać o coś, a gdy klucznica nic nie odrzekła, nie rozumiejąc języka szwedzkiego, a może niemieckiego lub innego, w którym przemawiała, dała służbie swojej rozkaz, ażeby moje córuchy do ekwipażu zaprowadziła.

Nic nie pomogła rozpacz i opór starej klucznicy, strojna cudzoziemka wkrótce w dalszą pojechała podróż, uwołając moje ukochane kwiatuszki...

Od tego czasu nikt nie pewnego o nich donieść mi nie mógł. Może już do Szwecyi je wywieziono?.. Powiadają, że wiele rodzin szlacheckich w ten sposób dziatwę swoją postradało... Panie szwedzkie, żony generałów i oficerów, robią to w tym celu, ażeby w razie dostania się do niewoli ich mężów lub krewnych, miały w ręku, jako zakładników, dzieci polskie...

Porwał się Michałek, wołając:

— Na zamku w Łowiczu są też polskie dzieci... Żona pułkownika Izraela opiekuje się niemi!.. Ludzie dziwili się, że Szwedzi nawet

małym dzieciom nie przebaczą... Kto wie, czy nie znajdują się tam także waszej wielmożności zaginione córki?..

Pan rotmistrz smutnie się zadumał.

— Jeśliby Bóg dał, że twoje przypuszczenie sprawdziłoby się, dzielny chłopcze, to miałbyś we mnie nietylko ty, ale i twój przyjaciel Pawełek opiekuna serdecznego na całe życie...

W tej chwili w głębi puszczy dał się słyszeć trzykrotny ostry świst, zaraz odpowiedziało mu od strony polanki głośnie pianie koguta...

Rotmistrz spojrział na swoich towarzyszy i uśmiechnął się.

— Baczność, mości panowie! — rzekł zadowolony — zbliżają się już nasi... No, chłopcy! — dodał, rzucając spojrzenie na Michałka i Pawełka — przygotujcie się, bo za chwilę ujrzycie wodza i rycerza, o którym marzyliście i do którego z taką ważną nowiną podążaliście... Widzicie teraz, że zabawiałem się z wami rozmową nie dla zwyczajnej ciekawości, ani też wstrzymywałem was tutaj nie przez lekkomyślność, jeno w tem przeświadczeniu, że wnet nadciągnie w to miejsce na czele swojej husaryi sam pan Stefan Czarniecki... Tak dzisiaj z rana umówiliśmy się... Łupy, które pułkownik Izrael chce wywieźć z Łowi-

cza, pan Czarniecki powróci ojczyźnie... Już on cośkolwiek o tem słyszał i w tej sprawie wydał pewne zarządzenia.

Chłopcy teraz dopiero zrozumieli, dla czego pan rotmistrz nie śpieszył się z wysłaniem ich do obozu pana Czarnieckiego... Doświadczony wojownik i wódz nieporównany już przez swoich czatowników i wywiadowców dowiedział się o zbrodniczych zamiarach pułkownika Izraela, gdy przed trzema dniami wysłańcy jego nakazywali po wsiach okolicznych przygotowanie i dostarczenie setek, ba! tysięcy podwód do Łowicza... Zaraz postanowił drogi od tego miasta w stronę Łęczycy prowadzące, poobsadzać swoimi ludźmi... Mając siły znacznie słabsze od szwedzkich, którzy w każdej chwili mogli sprowadzić na pomoc liczne rotę z Łowicza i Rawy, postanowił dopiero wtedy przeszkodzić złodziejskiej robocie Izraela, kiedy naładowane łupami wozy wyruszą w drogę.

O dniu atoli i godzinie, w której wyruszą, nikt nie wiedział, bo pułkownik Izrael w tajemnicy to trzymał i nikomu o tem, nawet żonie swojej nie powiedział.

W każdym razie ociągać się z wywiezieniem zbyt długo nie mógł, bo tysiące wołów zaległo drogi pod miastem i zatamowało ruch wszelki i dowóz.

Ale podczas wojny jedna chwila może zmienić postanowienia i zamiary wodzów.

Pułkownik Izrael mógł odroczyć wywóz skarbów na czas inny, podwoły odprawić do domów i pozostać w Łowiczu.

A Stefan Czarniecki nie lubił i nie mógł pozostawać ze swymi szczupłymi hufcami zbyt długo na jednym miejscu, gdyż łatwo mogłoby być przez przeważające siły nieprzyjaciela otoczony i zwyciężony. Miał przytem naturę taką, że lubił niespodziewanie zjawiać się tam, gdzie go się wróg jak najmniej spodziewał.

Zresztą nikt nigdy nie przewidział i nie przeniknął, co i jak przedsięwzięcie przeciw wrogowi. Zwykle pierwszy był do boju, ostatni do spoczynku.

Zaledwie Szwedzi, pobici przez niego w jednym miejscu, zebrali się w innem, sądząc, że upojony tryumfem, odpocznie dni kilka, gdy on ani godziny nie spocząwszy, na czele nowego hufca husaryi uderzał na nich, jak piorun, i zmuszał do haniebnej ucieczki.

Chłopcy i pan rotmistrz Sierawski zwrócili się w stronę puszczy, skąd słyszeć się dały umówione hasła, ale tam teraz zapanowała cisza.

Natomiast od strony drogi, tam gdzie na wzgórzu niewielkiem stała Męka Pańska, roz-

legł się trzykrotny świst krótki, na który zaraz odpowiedziało nowe pianie koguta.

Pan Sierawski drgnął, konia ubódł ostro-gą i popędził w stronę wzgórza, a za nim kilku z jego towarzyszy.

Chłopcy, zdziwieni, zwrócili oczy w tę stronę i ujrzeni wspaniałą widok, który ogniem zachwyty odbił się na ich młodzieńczych licach.

Na polance ukazał się w otoczeniu husarzy skrzydlatych rycerz na rosłym przedziwnej piękności rumaku.

Z ramion rycerskiego męża zwieszała się burka rysim futrem podbita.

Z twarzy o cerze śniadej, z orlego oczu spojrzenia, z ruchów szybkich i pełnych siły poznać było męża przywykłego do wydawania rozkazów na polu bitwy.

Wąsy i broda rozwichrzona, szronem siwizny osypana, lśniący stalowy pancerz ze złotym ryngrafem Matki Boskiej, szabla obnażona i błyszcząca w ręku rycerza, jak błyskawica — ogromne wrażenie wywarły na obu chłopcach.

W pierwszej chwili nie wiedzieli, co z sobą robić, jak powitać rycerza i wodza, który zdawał się wzrokiem przyzywać ich do siebie.

Choć im nikt o tem nie powiedział, wiedzieli już, kogo mają przed sobą, domyślili się,

że to on—wielki rycerz, wielki wódz, najprywatniański i najzasłużeńszy syn matki-ojczyzny—Stefan Czarniecki, pogromca licznych najazdów, którzy godzili na zgubę Polski.

Takim znali go z opowiadań i z marzeń młodzieńczych.

To on był, godny następcą sławy Żółkiewskich i Chodkiewiczów, w wojnach z Moskwą, kozactwem, Tatarami, a teraz z potęgą szwedzką.

Zawsze czynny, waleczny, gotów do ofiar z krwi i życia, gdy o bezpieczeństwo i wolność ojczyzny chodziło, znany był i ceniony z męstwa nie tylko wśród swoich, ale i nieprzyjaciół.

On to przed kilku laty, podczas wojny na Ukrainie, gdy przypuścił szturm do Monasterzysk, a kula przeszła mu policzek i wyrwała część podniebienia, tak, że padł omdlały, zawołał, odzyskawszy przytomność: „Mój Boże! nie rana okrutna, którą otrzymałem, mnie boli, jeno to, że z tej przyczyny miasta nie zdobyłem!”

Myśli te przebiegły przez głowę Michałka i Pawełka, gdy niespodziewanie ujrzeni wielkiego bohatera tak blisko od miejsca, gdzie stali.

Nie wiedząc, jak okazać mu cześć i mi-

łość swoją, obaj chłopcy upadli na kolana i pochylili głowy do ziemi.

— A oni co robią?—dał się słyszeć dźwięczny, stalowy głos wielkiego wodza. Cóż to?.. niewolnicy?..

Podjechał pan rotmistrz Sierawski do pana Czarnieckiego, którego rumak, wstrzymywany cugłami, niespokojnie grzebał nogą ziemię i zgrabny łeb, o rozumnych, ogniem zapалу płonących oczach, zwracał w stronę Łowicza, jakby tam poczuł obecność wroga..

Pan Czarniecki pogładził ręką piękną, jedwabną grzywę ulubionego wierzchowca i słuchał pilnie słów pana rotmistrza, opowiadającego o całej przygodzie ze Szwedami.

— Dawnoż to się stało? — zapytał z żywością.

— Może nie cały będzie pacierz temu.. a może i mniej...

— Ha! Pan Bóg miłych chłopców zsyła... O tem, że Szwedzi skarby wywożą z Łowicza, wiedziałem, bo mi ludzie, którzy przed dwoma dniami przybyli do obozu, opowiadali... Ale na której drodze wozy ustawiono i w którą stronę pułkownik Izrael je poprowadzi, nie wiem, bo surowo tej tajemnicy strzegą Szwedzi, aby nie urządzić na nich jakowej zasadzki i nie przeszkodzić ich zbrodniczemu zamiarowi, niegodnego chrześcijańskiego i cywilizo-

wolnego narodu... Ano tych chłopców Pan Bóg mi zsyła... Wstańcie!.. Człowiek jestem jako i wy! Nie godzi się, abyście przedemną klęczeli... Dalej na koń!.. potrzebni mi będziecie!..

Głos pana Czarnieckiego zabrzmiał w uszach chłopców, jak muzyka. Zdawało im się, że nagle skrzydła im urosły u ramion, tak szybko, prawie że w powietrzu wskoczyli na konie.

Z zadowoleniem spojrzął na nich wódz i rzekł łaskawie:

— Dzielni będą żołnierze!.. Ano!.. zbliżcie-no się!... Jak myślicie, którą drogą wyruszą wozy z łupami?..

— W stronę Łęczycy... wszystkie stoją na wielkiej drodze łączyckiej — odpowiedział Michałek, czerwony jak burak ze wzruszenia i szczęścia, że rozmawia z tak sławnym mężem.

Pawełek zaś dodał:

— Otyły Szwed Arnulf, to z pewnością wie dobrze o wszystkim, bo jeszcze wczoraj z rana część podwód, może ze dwadzieścia albo i więcej zawracał z drogi prowadzącej do Piotrkowa i na łączyckiej im się ustawiać kazał.

— Gdzie ten Arnulf — zapytał porywczo pan Czarniecki.

Zaraz przyprowadzono opasłego Szweda, uwalanego w błocie, z głową zwieszoną ku ziemi i miotającego półgłosem okropne przekleństwa na Polskę, pana Czarnieckiego i chłopców, których nazywał synami Lucypera.

Nagle podniósłszy oczy i spotkawszy wzrok zwycięzcy z pod Warki, umilkł i spokorniał.

Zgiął się ku ziemi, zdawało się, że w nią czołem pokłony bić będzie.

Urok sławy, otaczającej imię wielkiego męża, podzielał i na niego.

— Więc to ten wielki i straszliwy wojownik, przed którym po kilkakroć zaskoczony, zmuszony był zmykać jak zajęć przed myśliwym, sam król Karol Gustaw i który już niejednego z najdzielniejszych pułkowników i rycerzy szwedzkich do niewoli zabrał, a innych do haniebnej z pola bitwy ucieczki zmusił?.. — myślał przerażony.

Z podziwem teraz opasły Szwed patrzył na jednego z największych owoczesnych wodzów i rycerzy.

Zapytany przez Czarnieckiego o zamiary pułkownika Izraela, odrzekł, że istotnie ten wódz szwedzki niezmiernie skarby ma wywieźć do Prus, że sam wraz z żoną i wszystkimi domownikami w drogę się wybiera, aby na czele wyborowego hufca strzedz skarbów.

Usłyszawszy to, pan Czarniecki rzekł do pana rotmistrza Sierawskiego:

— Sam Pan Bóg nie chce, ażeby pułkownik Izrael taką krzywdę ojczyźnie naszej wyrządził... Nie wywiozą już Szwedzi, jako Bóg na niebie, tych skarbów!.. Szkoda jeno, że wcześniej o tem nie wiedział, nie byłbym wyprawiał pod Warszawę pułkownika Zaliwskiego z husaryą... Ale trudno!.. I temi siłami, które mam pod ręką, jakkolwiek o wiele mniejsze są od tych, któremi dowodzi Izrael w Łowiczu, mam nadzieję pobić go i skarby zrabowane odebrać...

Zawrócił konia pan Stefan Czarniecki, zaś Michałek wraz z Pawełkiem błagalnie spojrzeli na pana rotmistrza Sierawskiego.

— O ojców się naszych lękamy... Szwedzi gotowi rzucić się na nich...

— Miejcie w Bogu nadzieję, że włos im z głowy nie spadnie... Co najwyżej do loszku więziennego Szwedzi ich wtrąca i tam trzymać będą... Toć ojcowie wasi przeciwko nim zbrojnie nie wystąpili... Za cóżby więc utratą życia karani być mieli?.. Zresztą co innego Szwedom w głowie... Nietylko Izrael pułkownik, ale i każdy inny dowódca, ba! nawet zwyczajny piechur, zwyczajny rajtar o tem jeno marzy, jakby zrabowane po kościołach, dworach i cha-

tach łupy w bezpiecznem ukryć miejscu lub sprzedać w pobliskich Prusach...

Dalsze słowa pana Sierawskiego przerwało nagłe pianie koguta...

To Tatar ostrzegął o nieprzyjacielu...

W tejże chwili na drodze, idącej od stony Łowicza rozległ się tętent galopujących koni...

Wysłano kilku ludzi na zwiady.

Niebawem wrócili, a jednocześnie tętent ucichł.

— To podjazd szwedzki—rzekł pan Czarniecki—bada drogę, czy nie zajęta przez nas... Nie trzeba Szwedów płoszyć... Niech wracają do Łowicza z wiadomością, że wojska naszego nigdzie ani śladu niema.

I na dany znak rycerstwo pana Czarnieckiego zniknęło, zapuszczając się w głąb puszczy, w takiej ciszy i z taką szybkością, że Pawełek i Michałek ostatni podążyli za panem rotmistrzem Sierawskim.

Nie mogli oni się oprzeć ciekawości i na chwilę wychylili się z puszczy, aby zobaczyć, co się dzieje na drodze.

Ujrzeni w oddaleniu spory oddział konnicy szwedzkiej, która najwidoczniej nie dostrzegłszy nic dla siebie podejrzanego, zawróciła i galopem puściła się z powrotem do Łowicza.

— Takie oddziały pułkownik Izrael wysłał z pewnością na wszystkie drogi okoliczne, aby się przekonać, czy nie grozi mu skądkolwiek niebezpieczeństwo...

Michałek i Pawełek śmieli się w duchu ze Szwedów...

— Ładnie się przekonali! — mruknął Pawełek.—O kilkadziesiąt kroków mieli wojsko nasze przed sobą i ani im się śniło o tem...

— I lepiej dla nich! — rzekł Michałek... Gdyby naszych rycerzy spostrzegli, spłoszyliby się, albo może chcieliby się bić, a wtedy żaden żywy jużby do Łowicza nie powrócił... Słyszałeś, że pan Czarniecki nie chce, aby pułkownik Izrael dowiedział się o tem, że on nań czatuje i jak orzeł w chwili odpowiedniej na kark mu spadnie... Za małe ma siły, ażeby na ich czele Łowicz wrogom odebrać, zamek obwarowany i przez armaty broniony wziąć szturmem, więc musi w ten sposób się zachować, taki plan walki obmyślić, ażeby mu się pomimo to Szwedzi z łupami nie wymknęli...

— I jakże to obmyślić — pytał, kręcąc głową Pawełek — jeśli na przykład pułkownik Izrael będzie miał trzy razy tyle wojska, co pan Czarniecki?..

— Mój kochany!—odrzekł z zapalem Michałek — choćby było Szwedów nie trzy, ale

dziesięć razy więcej, to gdy nad naszym rycestwem osobiście obejmie dowództwo pan Czarniecki, dokona tego co zamierzył.. Toć nie jedną, ale ze sto bitew stoczył on już ze Szwedami, a zawsze tak umiał zalać im gorącego sadła za skórę, że z pewnością gorzko żałowali swego zbójckiego na naszą Polskę najazdu...

Wtem pan Sierawski podjechał do chłopców.

— Mamy rozkaz—rzekł—do jutra pozostać tutaj, w tymczasowem obozowisku naszym w pobliżu polanki, zaś jutro o świcie wyruszyć bokiem puszczy w stronę Łęczycy i za mokradłami i bagniskami, w ukryciu leśnem, oczekiwać na Szwedów, którzy z pewnością dziś w nocy wyruszą z łupami w drogę...

— A gdzie pan Czarniecki?—zapytał nieśmiało Michałek.

— Jak ci to już, mój chłopcze, wspominałem nikt o tem wiedzieć nie może... Odjechał w głąb puszczy tak nagle i szybko, jak się tutaj wśród nas zjawił... Pono wysłańcy od najjaśniejszego króla naszego Jana Kazimierza przybyli do obozu jego nad Pilicą z ważnemi listami, ręką królewską pisanemi... Pono i królowa Marya Ludwika śle ciągle listy z prośbą o ratunek upadającej ojczyzny... Kilku też senatorów i panów zaklina pana

Czarnieckiego, aby o odebraniu Warszawy z rąk szwedzkich pomyślał... Pono tam niewielka załoga nieprzyjacielska pozostała, zaś mieszczaństwo oburzone jest na bezprawia Szwedów i rozporządzenia feldmarszałka Wittemberga. Ten feldmarszałek radby przedewszystkiem zajrzeć do kieszeni każdego, choćby nawet ubogiego szewca, i wydać mu z niej ostatni grosz, pod pozorem nadzwyczajnego podatku na potrzeby armii jego królewskiej szwedzkiej mości... Ano poznają teraz wszyscy, od starca do dziecka, od magnata do ubogiego żebraka, co to znaczy, gdy się do owczarni lekkomyślnie wilka wpuści... Ale przyjdzie chwila, że wilka się za morze przepłoszy... Już o tem dzień i noc myśli pan Czarniecki...

Chłopcy z ciekawością słuchali pana rotmistrza Sierawskiego, on zaś spoglądał na nich wielce przyjaźnie.

Przypominali mu jego własnych synów, chętnie ich więc zatrzymywał przy sobie.

Wtem zbliżył się do niego zaufany pachołek i podał mu dwie sakiewki, które znalazł przy Arnulfie i Rudolffie.

W obydwóch były dukaty i srebro, w sakiewce zaś Rudolffa prócz tego kilka złotych pierścionków, koleczyków i nader piękny, niewielki, brylantami ozdobiony krzyżyk z łańcuszkiem do noszenia na szyi, oraz medalionik z wyobrażeniem Matki Boskiej.

Oczywiście wszystkie te przedmioty i pieniądze pochodziły z kradzieży.

Pan rotmistrz pieniądze przeliczył, przeznaczając je do przechowania w obozowym, pułkowym skarbczyku, zaś na widok krzyżyka i medalionika okrzyk zdumienia wyrwał się z jego piersi.

Poznał, że to były przedmioty, które zwykle córki jego nosiły na szyi, dar niegdyś starej ciotki, miecznikowej sieradzkiej.

— A dawajcie-no mi tutaj tego Szwe-
da! — zawołał, przyciskając do ust krzyżyk i medalionik, które niejako przemawiały doń lubym głosem jego zaginionych córeczek.

Przyprowadzono Rudolfa.

— Skąd masz ten krzyżyk?.. Skąd ten medalionik?.. Gadaj mi zaraz!..

Szwed przewracał oczami, nie mogąc zrozumieć, o co chodzi.

Podjechał pan Ruszczyc, który rozumiał język szwedzki i nieźle nim mówił, gdyż dość często w rozmaitych sprawach w Sztokholmie przebywał.

Nuż więc badać Rudolfa i wypytywać, gdzie, kiedy i od kogo krzyżyk i medalionik dostał.

Jąkał się Szwed, niejasne dawał odpowiedzi, wreszcie przyznał się, że gdy stał na

warcie w ogrodach zamkowych w Łowiczu, znalazł te przedmioty na kamiennej ławce... Kto je tam pozostawił, nie wie... Nie wie też, czy ich kto szukał, bo w kilka godzin zmieniono wartę. Na wszelkie dalsze zapytania odpowiadał, że nie więcej nie wie i nie pamięta... To tylko jeszcze sobie przypomina, że przy medalioniku i krzyżyku leżał jakiś papier, na którym wypisane były imiona dwóch dziewczynek, ale nie może sobie przypomnieć, jakie to były imiona.

W piersi pana rotmistrza Sierawskiego serce zabiło silniej.

— Kto wie? — pomyślał — może córeczki moje przebywają na zamku w Łowiczu?.. A może Rudolf kłamie?

Atoli chudy Szwed tak uroczyście klął się na wszystkie swoje szwedzkie świętości, jako mówi prawdę, że pan rotmistrz musiał wreszcie poprzestać na tem co zeznawał..

Nie dowiedział się wiele pan rotmistrz Sierawski o swoich ukochanych córeczkach, ale nadzieja jakaś wzbudziła się w jego sercu.

Przeglądał się przez czas pewien z wielką pilnością krzyżykowi i medalionikowi, jakby chcąc się w zupełności przekonać, że się nie myli, że istotnie do córek jego należały.

Wtem spostrzegł z boku medalionika wy-

ryte nożykiem niezgrabnemi literami słowo: „żyjemy“.

Zdawało się panu rotmistrzowi, że z nieba tę wieść otrzymał.

Nuż więc wypytywać dalej Szweda, czy nie widział w otoczeniu pani pułkownikowej Izraelowej dwóch jasnowłosych dziewczeczek, o lnianych włosach i niebieskich oczach.

Odpowiedział Rudolf, że nigdy nie widział w zamku nikogo z otoczenia pani pułkownikowej Izraelowej... Kłamał, bo dobrze znał panie Spielman, Heslein i Speizenvogel, które zarządzały gospodarstwem kobiecem w zamku i pełniły obowiązki nadzorczyń w szpitalu szwedzkim.

Zwłaszcza dobrze znał panią Speizenfogel, pod której opieką znajdowały się dzieci polskie, zabrane do niewoli szwedzkiej.

Tak jak łupy, zrabowane w kościołach i domach, miały wartość dla Szwedów i dzieci polskie, zwłaszcza z domów zamożnych.

W danej chwili można było żądać za nie dużego okupu, lub zamiany na jeńców szwedzkich, pozostających w ręku rycerstwa polskiego.

W zamku łowickim była spora gromadka tej nieszczęśliwej dziatwy, nad którą opiekę miała Frau Speizenfogel, kobieta popędliwa, mściwa i wiecznie zagniewana. Umiała

ona pozyskać zaufanie pułkownikowej i prawie samowolnie rządziła w zamku.

Chudy Rudolf pozyskał sobie jej względy i stał się jej doradcą, gdy chodziło o przechowanie pieniędzy lub kosztowności, które pani Speizenfogel odbierała od małych jeńców polskich.

Rudolf ani słowa nie powiedział o tem panu rotmistrzowi Sierawskiemu, kłamiąc uparcie, że z otoczenia i służby żony pułkownika Izraela nikogo nie znał.

Odprawił go więc pan rotmistrz, nie zupełnie wierząc w to, co mówił, i nakazując go strzedz pilnie.

Mając sobie polecone pozostać do brzusku dnia następnego w tem miejscu puszczy, wraz ze swoim oddziałem, doświadczony ten wojownik, wsławiony w bitwach z kozactwem i Tatarami, porozstawiał czaty nade drogą, sam zaś cofnął się z towarzyszami swymi do obozowiska, w pobliżu polanki, nad strumieniem leśnym rozłożonego.

Stały tu namioty, a obok nich konie juczne, kręciła się około rozpalonego ogniska służba obozowa, na kilku wozach piętrzyły się skrzynki i paki z zapasami żywności.

U stóp olbrzymiego dębu stał biały namiot pana rotmistrza Sierawskiego; do tego

namiotu wszedł pan Sierawski, biorąc z sobą Michałka i Pawełka.

Przestronno było wewnątrz namiotu i wygodnie. Wraz panem Sierawskim usiedli chłopcy na kłocu drzewa, który służył za ławę.

— Od kilku już lat nie mam innego nad to mieszkania—rzekł pan Sierawski.—Od kilku lat przepędzamy zuchwałych najeźdźców, którzy radziby rozszarpać naszą ojczyznę... I kto wie, co by się już było z Polską stało, gdyby nie męstwo i wytrwałość pana Stefana Czarnieckiego. On jeden ani na chwilę nie stracił nadziei w zwycięstwo nasze nad wrogami, on jeden nie dał się złudzić obietnicami, któremi Karol Gustaw chciał go nakłonić do zdrady sprawy ojczystej!

Chłopcy słuchali z wielkiem zaciekawieniem.

Pan rotmistrz rad opowiadał im różne, nader ciekawe wydarzenia z życia Stefana Czarnieckiego.

Był on wielkim wielbicielem tego bohatera.

— Każdy Polak—mówił z przejęciem i zapalem—powinien miłować i czcić pana Czarnieckiego.

W przekonaniu pana rotmistrza nie było

w dziejach świata większego wojownika nad zwycięzcę z pod Warki.

— Nie wojuje on, nie pozbawia się snu i spoczynku, nie przelewa krwi ludzkiej dla zaspokojenia dumy, próżności, lub pragnąc zagarnąć obce ziemie, zrabować i złupić obce sioła i grody, o, nie!.. Dalekiemi są te myśli od naszego wodza!.. Nie dla próżnej chwały trzyma on oręż w ręku, nie dla zaboru i rozboju, lecz w celu zapewnienia pokoju, uwolnienia ojczyzny od wrogów, wstrzymania rozlewu krwi i przywrócenia na tron prawowitego, przez cały naród umiłowanego monarchy, srode przez zdrajców upośledzonego, niemal ze wszystkiego wyzutego... Ojczyzna, której miłość wlewa się do serc naszych wraz z powietrzem, co nas ożywia, jedynym celem jest jego zabiegów... O jej wolność i honor walcząc, naraża życie, pozbawia się od lat młodzięńczych wygod wszelakich, spokoju, naraża na rany i kalectwo, na głód i surowość nocy zimowych...

Gdyby nie zuchwalstwo najeźdźców, nie podłość zdrajców, nie toń zgubna, w której ojczyzna zdaje się, że lada chwila zginie, wielki ten mąż i wojownik nie chwyciłby był za oręż, nie pobiegł na pola bitw krwawych, lecz spokojnie prowadził żywot sielski wśród ojczystych włości...

— A czy pan Czarniecki urodził się w Łowiczu?—zapytał niespodziewanie Pawełek.

— Wcale nie w Łowiczu! — odparł żywo Michałek — ksiądz Antoni nam przecie mówił, że pan Czarniecki urodził się w niewielkiej wiosce, w pobliżu miasta Włoszczowy... Ale nie pamiętał dobrze, jak się ta wieś nazywa...

Pokręcił wąsa pan rotmistrz Sierawski, uśmiechnął się i rzekł:

— Prędzej to wyście zapomnieli, moi chłopcy!.. Księża i zakonnicy dobrze pamiętają nazwę gniazda rodzinnego tego męża, obrońcy wiary i świętyń pańskich... Starodawna to nazwa i starodawne gniazdo... Już za Władysława Jagiełły wspominają o niem kroniki nasze... Mówią one, że sławny starożytnością dom Łodziów był gniazdem imienia Czarnieckich... Powstało ono od dziedzictwa wsi Czarncy i Czarnieckiej Woli, w województwie Sandomierskiem. Krzysztof, starosta Żywiecki i dworzanin Zygmunta III, zasługami w ojczyźnie wsławiony, był ojcem dziesięciu synów i córki Katarzyny. Jednym z jego synów jest właśnie bohaterski nasz wódz i obrońca ojczyzny, rycerz nieporównany, w przyjaźni wierny, w nieszczęściu niezłomny, w dni chwały umiarkowany i skromnością najzawziętsze przeciw sobie serca rozbrajający. Matką jego była szlachetna i dobra Kry-

styna Rzeszowska. Ona to w dzieciństwie, składając mu ręce do modlitwy Pańskiej, uczyła, aby o ojczyźnie i uciśnionych nigdy nie zapominał, aby w imię prawdy i sprawiedliwości walczył i umierał. Ojciec zaś sam rycerzem będąc, cnoty i męstwa nieposzlakowanego, układał rękę młodzieńca do pługa i do szabli... „Naucz się orać ojczysty zagon—mawiał—od czego masz pług piastowski i broń go od wroga, od czego masz szablę, którą już przodkowie twoi w obronie tego zagona walczyli...” Urodził się Stefan Czarniecki na samym schyłku szesnastego wieku, bo w roku 1599. Od wczesnych lat życia objawiał wielką żywotę i energię, a przytem przywią-zanie do gniazda rodzinnego.

W szkołach szczególnie zyskał miłość ogólną nauczycieli i towarzyszków. Ulubionymi jego mężami, których śladami postanowił iść przez całe życie, byli Jan Zamoyski, Karol Chodkiewicz, Stanisław Żółkiewski.

Ich żywot i dzieła zapalały w jego sercu pragnienia jak najpiękniejsze, których celem była wielkość i sława imienia polskiego. Zaraz też po ukończeniu szkół surmy bojowe wezwały go do obozu i na pole chwały. Pierwsze odznaczenie wojskowe, bo stopień porucznikowski otrzymał pod wodzą hetmana pol-

nego Marcina Kazanowskiego. Miał wtedy trzydziesty trzeci rok życia.

Najpierwsze laury sławy zdobył w wojnie z Moskwą, w roku 1633, szczególnie pod Smoleńskiem. Król nasz Władysław IV przez całą zimę trzymał w oblężeniu w warownym obozie zamkniętą armię moskiewską. Patrzył Czarniecki na własne oczy, jak sam król Władysław, chcąc dać przykład wojsku podczas wielce srogiej zimy, nie opuszczał ani na chwilę pola walki. Mieszkał w lichej chacie chłopskiej, żywił się tylko suchym chlebem i zwykłą wodą, aż wreszcie zmusił wodza wojska moskiewskiego Sahina, że musiał prosić o pokój.

Stefan Czarniecki odznaczył się wtedy tak zaszczytnie, że król, nagradzając jego męstwo, dał mu przywilej na pięćset łanów ziemi w powiecie Starodubowskim.

Zdawało się, że Polska odetchnie, oręż zawiesi i pracy spokojnej się poświęci.

Inaczej losy zrzędziły. Zaraz na początku panowania króla Jana Kazimierza okrutne spadły na nią ciosy. Można powiedzieć, że nigdy wrogowie straszliwsi na nią nie godzili. A najniebezpieczniejszym, najgorszym był wróg wewnętrzny, zdrajcy ohydni, którzy własną sprzedali matkę, Judasze, którzy na męki wydawali ojczyznę za marne srebrniki..

Ha! wiecie już o najgłośniejszych, ale nie bracko i pomniejszych. Jak psy chciwe ochłapu z pańskiego stołu, wprowadzali oni pułki szwedzkie w głąb Polski... Obyż ich pamięć piekło pochłonęło!.. Nikczemnicy!.. Łotrzy!..

Pan rotmistrz przerwał na chwilę. Gniew wstrząsnął jego piersią.

Gdyby w tej chwili miał przed sobą niecných, ohydnych zdrajców, gotów byłby skazać ich na najsrozsze męki, wydać na tortury, choć znanym był z łagodności i wstrętu do gnębienia bliźnich...

— Oto zbrodniarze, jakich świat nie oglądał!.. Oto Judasze!.. Obyż ich ziemia pochłonęła!..

Uspokoił się wreszcie.

— Szczęściem—rzekł—że są jeszcze tacy obrońcy tej ziemi, jak pan Czarniecki... Oni budzą sumienie... Oni nie pozwolą, aby zdrajcy tryumfowali, a wróg tuczył się w wydaniu mu przez nich na pastwę królestwie... Ale posłuchajcie dalej, jak wszędzie, gdzie jeno niebezpieczeństwo groziło naszej ojczyźnie, wódz nasz bohaterski spieszył z narażeniem życia... Za męstwo w wojnie z kozakami otrzymał rotmistrzostwo, a następnie został pułkownikiem i przyczynił się wiele do pogromu Tatarów, których ścigał aż na stępy krymskie.

W ciągłych walkach i utarczках z kozakami i Tatarami, którzy w siłach przeważających wielokrotnie nasze wojska, w latach następnych pod wodzą zdrajcy Bohdana Chmielnickiego rozpalili olbrzymi pożar wojny na całej Ukrainie, Stefan Czarniecki coraz to nowe dawał dowody niezwykłego hartu ducha i męstwa.

W nieszczęśliwej bitwie pod Żółtymi Wodami, gdzie na jednego rycerza polskiego przypadało kilkudziesięciu nieprzyjaciół, dostał się do niewoli tatarskiej. Półtora roku w niej przebył.

Za okupem z niej uwolniony, wkrótce objął obowiązki oboźnego koronnego, które chlubnie pełnił. Dał on się później dobrze we znaki najeźdźczym hordom tatarskim i buntowniczym kozackim...

Ale nigdy może nie oddawał ojczyźnie takich usług, jak w tej okropnej ze Szwedami wojnie. Śmiało można twierdzić, że on z ostatecznej toni ojczyznę udręczoną i przez własne dzieci na łup wroga wydaną ratuje... Już na głos jego i na dźwięk szabli zwycięskiej nie tylko miasta, ale i wsie nasze przeciw najeźdźcom powstają... On, powtarzam, z toni ratuje ojczyznę...

Dalszą opowieść o życiu pana Czarnieckiego przerwało wejście do namiotu jednego

z towarzyszków pancernych, który oświadczył, że od strony moczarów i bagnisk, szeroko ciągnących się nad rzeką Bzurą, czatownicy spozstrzegali liczne zastępy ludzi zbrojnych, zmierzających w stronę obozu. Rozpoznać, co to za wojsko, dokładnie nie można było, to jeno pewna, że szybko zbliżają się do obozowiska...

— Może to jaki szwedzki figiel? — zakończył rycerz.

— Ostrożność nigdy, a przede wszystkim na wojnie nie zaszkodzi — rzekł pan Sierawski i nakazał, aby cały oddział stanął pod bronią.

— Kto wie, czy nie będziemy zmuszeni do bitwy?! — rzekł z ogniem w oczach. — Dalej-że, panowie bracia, kto Polak, za mną!.. A przede wszystkim języka mi trzeba!.. Dalejże! skoczcie-no w kilku i przyprowadźcie mi choć jednego z tych, którzy na nas godzą...

Zaraz porwał się Michałek i Pawełek, dosiedli koni i jak dwa młode orły, rzucili się naprzód.

Gorzeli pragnieniem walki za tę ziemię, której z takim bohaterstwem bronił pan Czarniecki.

Niebawem cały oddział z panem Sierawskim na czele wyruszył w głąb puszczy, na spotkanie wroga.

KONIEC TOMU I.

7651-1



7651